

BLUSZCZ

Spółczesno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 6 WRZEŚNIA 1929 ROKU

NR. 37

TREŚĆ NUMERU: Jak uzdrowić pracę kobiet — *Natalja Jastrzębska*. Międzynarodowy Kongres Ligi Nowego Wychowania — *Helena Spoczyńska*. Poezje: „Wiersz do Liljany Gish“, „Świerszcze“ — *Felicja Kruszevska*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Z wędrówki — *M. H. Szpyrkówna*. Pomruk nieskończoności — *Stefanja Podhorska - Okołów*. Na drogach własnego „ja“ — *J. K.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *M. D.* Sztuka i życie — *Stanisław Machniewicz*. Szparagi — (dok.) *Stan. Schönfeld*. W polskim Karlsbadzie — *E. K.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Sylwetki spacerowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

JAK UZDROWIĆ PRACĘ KOBIET

Od pewnego czasu toczy się w „Mównicy“ dyskusja na temat bardzo żywotny, sięgający do głębi w praktykę codziennego życia.

Temat ten: praca zawodowa kobiety matki, był przez długi czas przemilczany w społeczeństwie. Złożył się na to szereg przyczyn różnorodnych. Najpierw żywiołowy wśród kobiet, nowego wówczas pokolenia, pęd do pracy, do samodzielności, drogą ekonomicznego uniezależnienia się, potem wojna i lata powojennej biedy, które wszystkich niemal członków rodziny postawiły przy warsztacie pracy. Dawne spory na temat kobiety: może, czy nie może, powinna, lub niepowinna, umilkły — nie było czasu na dyskusje.

Dziś sprawa ta powraca na nowo i dobrze się stało, że wróciła. Nie dlatego, aby należało kwestionować, jak to robiono dawniej, prawo kobiety do wykonywania swego zawodu, o tem mowy już być dziś nie może, ale dlatego, że praktyka życiowa wykazuje zawsze, w każdej sprawie, szereg błędów, niedoborów, wad, które można i trzeba poprawić, a drogą tej naprawy jest naświetlenie braków, przez ich szczegółowe, polemiczne omówienie w dyskusji publicznej. Wynikła ona, jak to często się zdarza w rzeczach ważnych, z punktu ubocznego niejako. Jedna z czytelniczek podniosła w „Mównicy“ zapytanie, co ma robić żona i matka w razie śmierci lub niezdolności do pracy męża, żywiciela rodziny. Napisała ze szczerą troską o wagę sprawy, ale zarazem tak, jakby sama przechodziła nieco obok życia, jakby niedosyć uświadamiając sobie fakt, że w ogromnej ilości dzisiejszych rodzin mąż i żona pracują

wspólnie i że, jeżeli dyskutować trzeba na temat bytu rodziny, to tylko nad tem, jak, w razie śmierci jednego, będzie mogło podolać drugie z rodziców — wszystko jedno, matka, czy ojciec — i to nietylko materialnie, ale przede wszystkim i moralnie.

Polemika nie poszła jednak tą drogą, chyba jedynie racjonalną, lecz zwróciła się do zagadnienia czysto teoretycznego w dzisiejszych warunkach: czy kobieta powinna pracować zawodowo, zwłaszcza gdy ma dzieci.

Zagadnienie to nazywam teoretycznym dlatego, że cokolwiekbyśmy pisali i mówili na jego temat, życie rozstrzyga je za nas samo, ogromna ilość kobiet musi pracować i pracuje po wyjściu zamąż.

I dzieje się tak z przyczyn nietylko materialnej, ale i moralnej natury. Dyskusja, prowadzona w „Mównicy“, daje bardzo żywy tego przykład, pomimo, że, rzecz dosyć dziwna w istocie, większość czytelniczek, które zabrały głos w tej sprawie, wypowiedziała się w stosunku do pracy mężatek negatywnie. Są między niemi głosy nawet rozpacz i pesymizmu, jedna z pań stwierdza, że zupełnie rady sobie dać nie umie, nie ma siły pracować (choć młoda jest i zdrowa) i marzy tylko, aby mąż mógł zarobić tyle, aby bez jej pomocy starczyło na utrzymanie rodziny. Ta osoba i wiele innych jej podobnych wyrzekłyby się w jednej chwili swego zawodu — nie uczynią tego jednak, więzi je mus materialny. Inne wykazują więcej sił moralnych, mają lepszy dar organizacji pracy, nie tracą głowy, ale stwierdzają również trudności w pogodzeniu obowiązków domowych z zawodowymi, niekiedy w od-

wrotnym porządku: nietylko obowiązki zawodowe przeszkadzają domowi, ile właśnie dom przeszkadza obowiązkowi zawodowemu, zwłaszcza kobietom, pracującym umysłowo. Doskonały przykład tego podaje jedna z czytelniczek, której znajoma nauczycielka biadała, że nie może zabrać się do rozprawy naukowej, gdyż musi liczyć i reperować bieliznę.

Ten typ kobiet jednak, pomimo, że ponosi podwójny ciężar pracy, domowej i zawodowej, tej drugiej nie rzuci, więzi je mus moralny, ukochanie swej pracy.

Rezultat jest jeden, już powyżej przytoczony, ogromną ilość kobiet, mężatek i matek, musi pracować zawodowo. Praca ta potrzebna jest im samym i ich rodzinom, potrzebna jest kulturze społecznej i krajowi. Zapytanie jednej z takich zrozpaczonych, niemogących sobie dać rady z życiem pracownic: czy praca kobiet nie przyczynia się do bezrobocia i utrudnienia zawodowych zajęć mężczyznom, dowodzi tylko, jak niektóre kobiety jeszcze się słabo orientują w kwestjach ekonomicznych i socjalnych. Gdyby istniała możliwość wyłączenia nagle kobiet z pracy zawodowej, to na drugi dzień utworzyłby się w całym kraju olbrzymi zator: biura państwowe i prywatne, fabryki, sklepy, redakcje, szkoły stanęłyby i nie do pomyslenia jest taka ilość bezrobotnych, którzy mogła wypełnić tę lukę.

Skoro więc kobieta pracować musi, chodzi nie o dyskusję na temat: czy pracować powinna, lub nie powinna, lecz jak ma zorganizować swą pracę, aby nie stargać sił, nie szkodzić zdrowiu i wychowaniu dzieci i spełnić swe zadanie z pożytkiem prywatnym i ogólnym.

Chcąc odpowiedzieć na to zagadnienie, musimy przedewszystkiem uzmysłwić sobie historję podziału pracy kobiety i mężczyzny w rodzinie.

Podział ten ustalili się w czasach zamierzchłych, zgodnie z ówczesnymi warunkami. Mężczyzna, silniejszy fizycznie, spełniał w rodzinie zadanie, wymagające tych sił: zdobywał żywność i bronił rodzinę przed napaścią wrogów: dzikich zwierząt i równie dzikich nieraz ludzi, kobieta przyrządzała żywność i odzież i chroniła w domu dzieci.

W miarę rozwoju cywilizacji, zmieniały się coraz więcej techniczne warunki tej pracy, ale zasady jej pozostawały prawie te same — ciężka praca na roli, lub przy warsztacie, dla uboższych, tej samej przewagi sił fizycznych wymagający zarząd majątkiem lub zawód rycerski, wojenny dla bogatych, były udziałem mężczyzny, kobiecie pozostawał dom.

Aż nagle zmieniło się wszystko do gruntu, z chwilą wprowadzenia pracy maszynowej, znikła nieomal konieczność siły fizycznej, tak, że z małymi wyjątkami, każda praca stała się przystępna dla słabszych kobiet; jednocześnie cywilizacja wytworzyła potrzebę ogromnych zastępów pracowników umysłowych, wzmożone rozwojem kultury i ludności

potrzeby materialne sprawiły, że naogół mężczyzna sam nie może wystarczyć na byt rodziny, a pęd samodzielnosci życiowej pchnął kobiety do pracy zawodowej.

Rezultatem tego powinna być przedewszystkiem reforma podziału pracy w rodzinie. Jest to logiczne i konieczne.

A o tem właśnie myśli się najmniej. Kwestja ta stoi dziś nieomal tak, jak stała w czasach przedhistorycznych.

I co najciekawsze, tak właśnie stawiają ją same kobiety.

Każda z nich, wychodząc z małżeństwa, uważa, iż organizacja i prowadzenie domu i wychowanie dzieci jest wyłącznym obowiązkiem jej samej tylko. Przekonania wszystkich, cała opinja publiczna są, dzięki kobietom właśnie, zorientowane w tem jedynie znaczeniu. W sprawie np. wychowania dzieci panuje w społeczeństwie dzisiejszem formalny matryjarchat, na którym bodaj czy dzieci dobrze wychodzą.

Pierwszym warunkiem racjonalnej organizacji rodziny, warunkiem, o którego wypełnienie kobiety starać się muszą, przynajmniej tak gorliwie, jak walczyły o równouprawnienie obywatelskie, jest równy, zastosowany do nowoczesnych potrzeb życiowych, podział obowiązków żony i męża, matki i ojca.

Pobierając się, muszą małżonkowie ściśle sobie te obowiązki uświadomić i określić. Jeżeli kobieta nie pracuje zawodowo, działem jej pracy będzie organizacja i prowadzenie domu; lecz nawet i w tym wypadku wychowanie dzieci, powinno być podejmowane wspólnie, a nie tak, jak się to dzieje obecnie, że ojcu spada naraz, jak dachówka na głowę, poważny kłopot z dorastającym synem lub córką, sprawia, na którą matka nie może już sama poradzić.

Jeżeli żona pracuje zawodowo, a małżonkowie nie zarabiają tyle, aby mieć wykwalifikowaną służbę, to i sprawy domowe dzielić powinni oboje, kolejno wypoczywać i zajmować się gospodarstwem. To jest jedna z zasadniczych podstaw wspólnego życia. Drugą jest, poruszana już wielokrotnie, kwestja reformy i organizacji domowego gospodarstwa. W Europie zachodniej i Ameryce rozstrzygnięto ją już oddawna, wprowadzając wszystkie możliwe sposoby uproszczenia i ułatwienia. Z chwilą, gdy kobieta musiała iść do pracy, zorganizowano odrazu pensjonaty rodzinne, stołowanie zbiorowe, dostawianie produktów do domu, gotowanie zapomocą gazu i elektryczności z przyrządami, dostępnymi dla najmniej zamożnych i t. p. ułatwień. U nas niestety, wszystkie te rzeczy mogą mieć właśnie tylko ludzie, rozporządzający znacznymi środkami materialnymi, których i tak stać na służbę, małe zaś gospodarstwa prowadzone są nieomal tak, jak w średniowieczu, gdy w domu warzono piwo i tkano płótno. Tę sprawę trzeba zorganizować, ale należy to zrobić, a nietylko na-

rzekać. Niema kobiety, która nie narzekałaby na służącą, ale szkoły dla służących policzyć można na palcach.

Trzecią, najważniejszą sprawą rodziny, jest wychowanie dzieci. Gdy oboje rodzice pracują, na czyjej opiece zostać mają dzieci w ciągu 7 godzin dnia?

Większość dyskutujących w tej sprawie stwierdza, że „najszcześliwsze” są kobiety, mające w domu kogoś z rodziny, matkę, ciotkę i t. p. Założenie z gruntu błędne i nawet... nieludzkie. Każdy człowiek obowiązany jest wypełnić w życiu swoje zadanie: mieć rodzinę i wychować dzieci, ale obowiązek ten jest jednorazowy. Jak można składać go po raz drugi na barki osób starszych, zmęczonych wiekiem, osób, które w dodatku bardzo często błędnie pojmują zadania wychowawcze, wprost nie nadają się do ich spełnienia w zmienionych zupełnie warunkach obecnych?

I znów wracają tu te same skargi: nie można zostawiać dzieci na opiece służących, niema wykwalifikowanych wychowawczyń. Mówi się i wypisuje na ten temat tomowe jeremjady, tak, że zdawałoby się mogło, iż przygotowanie tych wychowawczyń wymaga zgoła dziesięciu pokoleń, a tymczasem na wykształcenie dobrej służącej, niani, czy freblanki potrzeba paru lat. Obok tego, dla najmniej zamożnych, powstać winny szkoły typu, zwanego we Francji i Szwajcarji „cercles maternels”, dla dzieci od lat trzech. Zakłady takie istnieją zresztą na całym świecie, sama widziałam w Niemczech dzieci zamożnego lekarza chodzące do takiej szkoły, gdyż mat-

ka ich zarządzała sanatorium swego męża i była cały dzień zajęta.

Ale to wszystko, powtarzam, trzeba zrobić. Nie ma jedna rodzina dosyć środków na dobrą wychowawczynię, niech się zbiorą dwie, trzy, pięć rodzin, krewnych, znajomych, z jednej ulicy, z jednego domu, zorganizują komplet dzieci i rodzina, rozporządzająca większym nieco lokalem, niech przyjmie taki komplet na kilka godzin, wtedy można mieć dobrą, lepiej płatną wychowawczynię. Niema dobrej szkoły wychowawczyń, niech mieszkańcy danej miejscowości, czy dzielnicy złożą po kilkadziesiąt złotych i niech szkołę zorganizują — zyskają na pewno pomoc władz oświatowych. Poza tem można bardzo dużo zrobić ze swoją służącą — można ją wychować. Widzę już oburzenie pań, ciągle narzekających na niepoprawne wady służących, ale pomimo tego, zdania mego nie zmienię, a mam prawo tak twierdzić: od 20 lat pracuję zawodowo poza domem. Nie miałam w tym czasie złej służącej. Było ich cztery: jedna umarła, jedna wyjechała z mężem, jedna odeszła wskutek mego wyjazdu, ostatnia pracuje u mnie od lat trzech.

Mając trochę znajomości ludzi, można zrobić wybór i wybranym materiałem pokierować, ale trzeba chcieć.

Trzeba bezwzględnie załatwić te trzy sprawy: racjonalny podział pracy w domu między małżeństwem, reformę gospodarstwa domowego, oraz wspólną, obojga rodziców pieczę nad dziećmi. Wtedy i praca kobiety będzie lżejsza i wychowanie młodego pokolenia pójdzie torem właściwym.

Natalja Jastrzębska.



HELENA SPOCZYŃSKA

MIĘDZYNARODOWY KONGRES LIGI NOWEGO WYCHOWANIA

Międzynarodowy Kongres Nowego Wychowania odbył się od 8—21 sierpnia w Helsingör pod Kopenhagą, mieście pełnem legend i pamiątek po filozofującym królewiczu duńskim, unieśmiertelnionym przez Szekspira w „Hamlecie”. Kronborg i Marienlyst — to dwa zamki Hamleta. W Kronborgu nastąpiło wielce uroczyste otwarcie Zjazdu przez czterech ministrów. Tam też odbywały się plenarne posiedzenia w olbrzymiej sali, ozdobionej gobelinami, strzeżonej gorliwie przez straż królewską, aby

uczestnicy Kongresu nie dotykali ścian i okien.

Na Kongresie ponad 2000 ludzi: reprezentowane są wszystkie narody i prawie wszystkie rasy (z wyjątkiem murzynów), przez delegatów i prace z zakresu „nowego wychowania”. Jest to morze ludzkie, rozleglejsze niż Sund i głębsze przez dorobek swej pracy. Łatwo się w niem początkowo zagubić, lecz odnalezienie siebie jest tem radośniejsze.

Hindusom trudno się „zagubić”, choć są w nie-licznej grupce (nie przewyższającej 10 osób): zdra-

dza ich ciemna cera, piękne narodowe stroje, szlachetność postawy, spokój i głębia wyrazu oczu i twarzy.

Ale inni giną, nawet prof. uniwersytetu w Tokio, poważny japończyk, tem bardziej dwóch studentów chińskich. Resztę towarzystwa rozpoznaje się po okrągłych znaczkach w kształcie małych tarcz i po barwach, służących do oznaczania krajów i znajomości języków. Najwięcej jest anglików (ponad 300 osób), potem idą Amerykanie (około 200 osób), Niemcy, przedstawiciele krajów skandynawskich, bałtyckich, słowiańskich z wyjątkiem Rosji.

Są przedstawiciele nowych kierunków wychowania: Montessori, Decroly, miss Parkhurst, Geheeb, twórca szkoły leśnej pod Berlinem w Odenwaldzie, mr. Burton i P. Fowler, omawiający t. zw. „Metody projektów szkolnych”, Glockel, Frankowski, twórcy nowej szkoły austriackiej, Parker, znawca szkoły hamburskiej i wielu innych wybitnych ludzi.

Z tem, co jest, lub co chce się w szkole osiągnąć zaznajamiają nas odczyty treści ogólnej lub dla grup filmy, ilustrujące pracę poszczególnych szkół i wystawy, pomyślane jako pokaz dorobku pracy poszczególnych metod. Mamy wystawy szkolne: duńską, szwedzką, norweską, lotewską, amerykańską, szwajcarską, węgierską, austriacką, obok tego wystawy metod: Montessori, Decroly, Winnetka i wystawę „Metody projektów”, oraz pokaz rzeźb z mydła (Nowy Jork). Szkoda, że brak polskiej wystawy, która prezentowała się podobno bardzo dobrze przed dwoma laty na Kongresie w Locarno.

Kongres nie nauczy jednak nowej metody: kongres pomaga tylko do wniknięcia w ducha nowej szkoły, uzmysławia możliwości pracy nowymi sposobami, podnieca zapał do pracy przez świadomość łączności z innymi narodami, ułatwia syntetyczny rzut oka na starą i nową szkołę i wykazuje dobitnie, ile twórczego elementu wnoszą w tę dziedzinę kobiety, jak: Helen Parkhurst, Montessori, miss F. Cooke (Szkoła projektów) i wiele innych mniej głośnych, a równie pożytecznych i zdolnych pracowników.

Kongres wybitnie pomaga do uzmysłowienia sobie, czym jest „stara i nowa szkoła”. Tu najjaskrawiej widzi się, ile smutku, mechanizacji, tortury może sprawić dziecku nauka w niższych, przeładowanych klasach, przy mechanicznym, jednogodzinnym podziale zajęć, na okropnych ławkach, przy złym oświetleniu i jakim przeciwieństwem jest indywidualizowana praca dzieci w grupach — nie klasach, tylko pracowniach jasnych, pełnych kwiatów, przystosowanych do pracy twórczej i radosnej, po-

legającej na współpracy z nauczycielem i pracy, związanej z życiem i celowością indywidualną lub społeczną, pracy, opartej na wyzyskaniu zamiłowań i uzdolnień dzieci. Są odmiany metod nauczania i wychowywania, ale wszędzie zerwano z pamięciowym wykuwaniem starej szkoły, z mechanizacją, wprowadzając na ich miejsce indywidualizację, celowość, samodzielność, społeczne przygotowanie do życia, pracę w „szkołach-ogrodach” (co u nas tak gruntownie bada i propaguje dr. Janina Antoniewiczówna) lub w „szkołach leśnych” (np. Odenwald pod Berlinem), wszystko pod hasłem „radosnej, twórczej i celowej pracy”.

Oczywista, najwięcej swobody i rozmachu pod tym względem ma Ameryka, wszędzie jednak postęp dokonywany jest dzięki inicjatywie jednostek lub grup (np. Szkoła Hamburska, stworzona przez nauczycieli), wśród których czołowe miejsce zajmuje Parkhurst, Montessori, Decroly.

Szczególniej podkreślić należy ewolucyjność reform, i stopniowe wnikanie lepszych metod do „starej szkoły” i umiejętne wyzyskanie okoliczności.

Pouczającym jest przykład Austrii, która w r. 1918 skorzystała z nadmiaru nauczycieli, aby zamiast ich posłać na emeryturę lub zwolnić z pracy, podzieliła klasy na małe grupy, stworzyła 200 klas doświadczalnych w Wiedniu, wytworzyła wśród nauczycieli nastrój „doksztalcenia się” tak, żeby móc ich zużytkować w „nowej szkole”. Nic dziwnego, że według słów Glöckla, prezydenta Rady Szkolnej wiedeńskiej, mogą mieć co roku w Wiedniu 400 klas doświadczalnych, przechodzić od doświadczenia do reform, a nie od rozporządzeń do chaosu. „U steru władz oświatowych stoją fachowcy, ludzie żywi, a nie biurokraci, bo biurokrata przy systemie twórczej pracy jest niepotrzebny”. Wydają 5 milionów dolarów na szkoły wiedeńskie, ale świadomi są, że wydatki na przedszkola i szkoły nowe zdecydują o kulturze i sile moralnej Austrii. Tak samo Plan — Dalton, miss Pankhurst stara się wejść stopniowo do starej szkoły i dostosowywać do warunków różnych krajów. „Nowa szkoła” uczy mniej, to prawda, ale uczy gruntownie i celowo, dlatego należałoby w Polsce powoli, gruntownie, ale ciągle zdążać naprzód drogą doświadczeń, nie rozporządzeń tylko. (Mamy szkoły według Dalton-Planu np. seminarjum nauczycielskie w Chełmie pod kierunkiem pani Młodowskiej, seminarjum im. Orzeszkowej w Warszawie, Nowolipki 11, niektóre szkoły powszechne lub poszczególne klasy, ale to jeszcze bardzo mało). Droga mądrze przemyślanej ewolucji, opartej na doświadczeniu, nie rewolucyjnego zamętu i bezsensu.



FELICJA KRUSZEWSKA

WIERSZ DO LILJANY GISH

Liliano, siostrzyczko Liliano,
wysmukły, wiosenny kwiecie,
wiatrem, wiatrem porwana
otoś mnie dopędziła na świecie.

Urodą młodą, gwiazdzistą
przez lądy z za oceanu
płyniesz ku mnie smugą srebrzystą
przez czarowne okno ekranu.

Bezbarwna i razem lilioma
dziewczynko najmiłsza i słodka,
cóż znaczą milczące słowa,
gdy uśmiech mój Twój uśmiech spotka?

Ten wiatr mnie także uderzył
mocno po sercu skrzydłami.
I można płakać najszczerzej
Twojami, Twojami łzami.

Liliano, wiotka Liliano,
puszysta gałązko wiśni,
otoś przyszła oczom siostrzanym,
oczom samotnym się przyśnić

ŚWIERSZCZE

Świerszcze! Świerszcze mnie gonią!
Tysiącem dzwonekóv dzwonią.
Dzwonią dzwoneki nad ranem
w powietrzu słodyczą nalanem.

W spiekę, miodem pijana,
siatką, złotem dziergana,
żar oplótl mnie dookoła.
Siatka świerszczami wola.

Trawy z trawami się wiążą,
nuteczki serce drażą.
Tryskają świerszcze wysoko,
nutki bolą głęboko.

W zmierzch od krwi słońca rumiany
dzwonią od ściany do ściany,
wołają mnie dzwonekami.
Dzwoni ściana świerszczami.

W nocy szeleszczą drzewa,
spada świerszczowa ulewa.
Błękit rozplata włosy,
we włosach świerszczowe głosy.



HERMINJA NAGLEROWA

18)

ZAWALIDROGA

(powieść)

— Ta ich warszawska, psia krew, polityka! — wyszarpnął się ktoś namiętym basem — zparszejemy, pójdziemy z torbami, to se tu zrobią Ukrainę!

A inny nieco ciszej i dostojniej dowodził:

— Otóż to, ale właściwie nie tyle o narodowościową politykę. Można zganić, można pochwalić, nie nasza sprawa, bo my ludzie zaścianka, może nie rozumiemy. Ale to są sprawy społecznej natury, to sprawy gospodarki kraju, finansów, moi panowie. Powiedzmy sobie otwarcie, że przyjmują się u nas bolszewickie metody i w tem niebezpieczeństwo, którego oni tam nie widzą. Miałem taką sprawę...

Wzburzone głosy zaczynały się na nieforemnych zdaniach, a szept oddzielnych grup żuczwał po kątach. Ode drzwi, krocząc boczkim, wsuwali się czarni faktorzy i wtedy zmieniał się ton rozmów, jak wiatr zmienia kierunek ulewy. Cyfry cen i korców, i wagonów, i sągów, klaskały, szemrały, chichotały w ironicznych śmiechach. Z papierowych torebek, z chłopskich chuścin sypały się ziarna na dłoń, która, gorąca od chęci, stawała się na chwilę pod wagą jeszcze zielonych i żywych ziaren łagodna i jakby wzruszona.

„Giełda zbożowa“ w zajeździe pomieszała grupy, następowały nowe uściski rąk i z ciemniejszych kątów wychodzili na front coraz to inni. Tu i ówdzie bura angielska wełna, spięta patką wysoko w stanie, krótkie spodnie i pończochy mogły z niezłem powodzeniem paradować na transatlantyckim parowcu, albo na szmaragdowej angielskiej łące grać w golfa na krzywych nogach.

Franek siedział na jakiejś ławce pod ścianą i patrzył na to widowisko z niemałym zachwytem i byłby tu tak siedział na uboczu, wyłuskując z tłumu oddzielne postacie, cechując ciekawsze typy, ale właśnie, niby czarny rak, wypełził skądś Łuczański i, mrużąc oczy, przedzierał się ku Frankowi. Czepliwe rękami wyskubywał już z rękawów Franka swoje zadowolenie, bo jakże się nie cieszyć, że go tu spotkał! A teraz nie puści go za nic, lecz porwie do Żarnówki na podwieczorek. Na wąsach Łuczańskiego bielila się piana piwa, niby wianuszek paciorków, ale w radościach uniesienia podmuchiwały nierównym oddechem jakieś resztki strapien. Tu w tym sąsiedzkim rozgwarze i wśród handlarskich targów nie wszystko było łatwe do zniesienia. A nawet ta czarna marynarka, obszyta pozieleniałą tasmą, niebardzo tu była odpowiednia i zapewne ona to popsowała niejedną tranzakcję finansową.

Franek biedził się nad sposobem wydobycia się

z łask Łuczańskiego, ale nie obdarzano go prawem głosu.

— Spotkamy się tu o drugiej! Może pan swoje konie nawet wcześniej odesłać, bo biorę pana na swoją bryczkę. Moje chude siwki jakoś i pana powiozą!

Lecz w tej groźnej chwili zjawił się właśnie Adonis. W białym burberry, rosły, piękniejszy, niż kiedykolwiek, rozjaśnił się we framudze drzwi, niby anioł opiekuńczy. Ręce Łuczańskiego odskoczyły lekko, jak pchły i trysnął niebotyczny zachwyty:

— Ach i nasz kochany pan Janek!

Skądś się już widać znali i coś odrazu wspólnie rebusem słów i gestów umieli sobie powiedzieć. Adonis miał zresztą gotowy plan i Franka z łatwością wyzwolił z czułych nalegań Łuczańskiego. Spryt Janka i tu okazał się przydatny. Więc najpierw należało użyć trochę w tym Jazłowcu. U Radlińskiego — „lokal śniadankowy“, a po południu kino w „Sokole“.

— Pomyśl tylko: grają „Gorączkę złotą“ i tu, tu w tym Jazłowcu zobaczymy Chaplina!

Janek miał tu znajomości, kłaniał się wdzięcznie w tę i tamtą stronę i cicho, z najpoważniejszą miną rozповідаł o wszystkich śmieszne, a ciekawe plotki. Łuczańskiemu powiedział wprost:

— Nie, dziś zostajemy tu do wieczora; mój przyjaciel musi poznać stolicę powiatu!

— Ha-ha-ha! — zagdakał śmiechem Łuczański — pyszne, stolica powiatu! Ale po sumie, dali-bóg, że was przychwyć!

Janek miał już sielskie maniery i był kompletnie na miejscu. Opalony, butny, śmiał się głośno, mówił z całego gardła, panoszył się na chodniku.

— Wiesz, rozżarłem się na wsi!

Mijali rozwalone, po wojnie nie odbudowane rumowiska domów. Na rudej cegle krzewiła się pokrzywa i osty, gnojówki narastały w warowne wały, stare klony wjeżdżały pniami na chodnik. W pstrokatej wrzawie, ciągnącej do cerkwi i kościoła, gorąco się stało od parującego potu. Słońce cięło promieniami w lśniącą bufonadę bryczek i jakich takich cugantów.

U Radlińskiego w małym pokoiku było pełno much. Tańczyły pod lampą, jak płatki rożdmu-chanej sadzy, umierały straszliwą śmiercią na pasmach lepu, ginęły na talerzach, oszołomione trucizną. Pod nogami trzeszczały ich spuchnięte, żółte brzuszki, a popstrzony obrus był również zasłany trupami.

Apetytu przyjaciół nie można było jednak niczem odstraszyć. Jedli ze smakiem „specialité de la maison” — gorącą kielbasę z kapustą i pili stęchłą starke. Było im przyjemnie i gadatliwie, bo przecież należało sobie wiele powiedzieć o tych paru tygodniach, przeżytych z osobna. Zwłaszcza zdawał sprawę Adonis. Nie zwlekając, przyznał się, że zakochał się w młodszej pannie Łuczańskiej, bo choć stary jest obrzydliwiec i wstrętus, córki są mądre, ładne, szykowne, słowem — klasa! Naprawdę wielkomięskie, dancingowe panny!

Franek krzywił się — że wcale nie ma ochoty na nie. W Kalińcach ma tyle pracy, że mu to zupełnie wystarczy. Przechwalał się, że pomaga ojcu, że pisze.

— Wiem już — drwił Franek — szykujesz się na ekonoma! Jan z Czarnolasu, lipa, pasieka, miód! I dlatego taki pan Smętek, takie coś, co nie ma pojęcia o życiu! Nie będę już miał z ciebie pociechy!

Ale, choć Adonis plółł nie do rzeczy, można mu było zwierzyć się, jak przyjacielowi. Jego poradność mogła być przydatna. Oczywiście, nie powinno mu się powiedzieć wszystkiego, tylko tak, pobieżnie.

Adonis zagwizdał:

— Mój drogi, wróble na dachach całej okolicy ćwierkają o tem, a ty robisz tragika! Pannę Halę widziałem raz w Jazłowcu w sklepie Spółki Rolniczej. Bardzo tam odstawiła dziedziczkę, kupującą sznury manilla do wiązanki. Myślałeś, że twój papuś jest święty, jakiś Franciszek z Assyżu, czy inny Benedykt z Nursji? Idjota! A te inne sprawy z Kalińcami i agronomją to, poprostu, pogadaj ze starym. Przecież jakoś tam ze sobą parlujecie?

Wymądrzania się Janka były właśnie, jak ta stęchła starke. Miały smak brudnej wody i piekły w przelyku, a na ostatku dostawało się zawrotu głowy i trzeba było mocno się trzymać, by nie powiedzieć przyjacielowi zawiśle. A zresztą, czyż nie wiedział, że Janek jest płytki i posiada tylko rozumek dla swoich życiowych spraw? Osamotnienie, zamroczone starke, szemrało jakieś swoje pocieszenia. Że właśnie lepiej jest zapaść się w szczęście i nieszczęście, że lepiej już nazawsze mieć serce pod samem gardłem. Co komu do tego, że tak jest?

XIX.

W Żarnówce zwyczaj panien Łuczańskich były nieco dziwne, możnaby powiedzieć — kocie. Bywały tam bowiem dnie, nastroszone od samego rana, burkliwe, i drapiące pazurami. Bywały także ranki leniwe, kiedy dziewczęta, skulone, na zmiętych po-

duszkach dosypiały zmęczenie i nudę. A znowu czasem już bodaj od świtu wyprawiano miękkie skoki na tenisowym korcie i krótkie, gardłowe okrzyki klaskały echem w parku. Niekiedy na wychudłych gniadoszach szedł galop ku Stawom Rudańskim. Czasami jednak zamykała się Maryna na klucz i czytała, zaniedbując nawet gości, których tu nigdy nie brakło.

Bo Łuczański spraszał młodzież po dworach, zajazdach, gościńcach, ścigał przemocą i namową. Zachęcał choćby nowymi płytami do patefonu.

— Tyle tylko pociechy z tego starego nudziarza, — informował Adonis — że przepadał często na polowaniach. Nigdzie nie mogło się przecież nic odbyć bez pomocy i porady kochanego pana Edwarda!

W domu Łuczański wygrzeczniał się aż nadto do gości, ale właściwem jego zajęciem było szczeniowanie róż. Potajemnie gnębił się, że Żarnówka rozparcelowana jest na — weksle, że córki trzeba wydać zamaż, zanim będzie się musiał przenieść do miasta i zanim dziewczęta przeobrażą się w biuralistki. Gdy go nikt nie widział, załamywał ręce, pięściami tłukł głowę, szlochał i jęczał. Tak właśnie oplakiwał swoją różarnię, której przecież nie będzie mógł zabrać ze sobą. Córki szydziły z niego, były zresztą aż nadto mądre i egoistyczne i mogłyby je właściwie uwolnić od swojej śmiesznej opieki.

Maryna parskła złością, że sprowadza im tu bylejakich smarkaczy i głuptasów i zdaje mu się, że w ten sposób świetnie spełnia swoje ojcowskie obowiązki. Wtedy na chwilę porywała go pasja i wykrzykiwał tak, że pewnie słyszeli go nawet fornale na majdanie:

— Przebierajcie, przebierajcie, księżniczki!

Obie patrzyły na niego złemi oczyma. Nie, nie miały litości dla ojca, o którym wiedziały dobrze, że jest tak mało wart. I czasem nie miały już litości dla siebie samych. Były już i tak dostatecznie ośmieszzone w okolicy, więc — wszystko jedno — byle się nie nudzić! A bawiły się jakby trochę ironicznie.

Franek złożył pierwszą wizytę niejako pod patronatem Janka. Do Żarnówki można było z Kaliniec dojść nawet pieszo niespełna godzinnym spacerem. Szło się polną drogą i właśnie przez dobrze znany las. Potem liche żarnowieckie żyto, białawe i anemiczne, przesiane zielskiem i makami, szeptało cichutko i jakby boleśnie. Dwór był ukryty w parku zdziechałym i wilgotnym. Dach dworu, podłatany po ukraińskiej wojnie, srebrzył się kępkami nowych gontów, drzwi i ramy okien poszarzały już bez pokostu.



M. H. SZPYRKÓWNA

Z WĘDRÓWKI

I.

Wracam z francuskich miejsc cudownych: Lourdes, Lisieux (mała św. Terenia), Orlean (Joanna d'Arc). I wywołuję powszechne zdziwienie: poco tam byłam?

Istniały w średniowieczu rękopisy na pergaminie, przez współczesnych niezbyt cenione. W każdym razie taniej, niż pergamin, na którym były wyszyte. Ścierano tedy pismo możliwie dokładnie, a na uzyskanej w ten sposób skórze spisywano nowe, narazie bardziej interesujące dzieje. Potomni jednak niezawsze podzielali to zdanie, i poznawszy się na podspodniem niejako istnieniu pierwotnego tekstu, z kolei wydobywali go za pomocą chemikalji na wierzch, jako dawniejszy i bardziej ciekawy. W ten sposób utracone wiadomości, przykryte dla niepoznaki powierzchownem pismem, odzyskiwały po wielu wiekach prawa obywatelstwa. Wiadomo, że tak zapisane pergaminy nazywają się skomplikowanem nieco słowem: palimpsesty.

Poco tam byłam? Bo pierwotnem, podspodniem pismem każdej duszy współczesnej jest — wiara w cud i tęsknota do cudu. Dzisiejsze życie jest rodzajem średniowiecznego palimpsestu, na którym badawcze oko wykryje pismo podwójne. Powierzchnie, życie dzisiejsze jest zmaterjalizowane i neguje wszelką, tak zwaną pogardliwie w pobieżnym języku „metafizykę” i, oczywiście, w pierwszym rzędzie neguje wiarę w t. zw. cuda. Ktoby tam wierzył w zjawiska, objawienia, głosy!... Niedokształceńcy, albo bezkrytyczni fantaści! A oto pod tą powierzchowną, tanią bajeczką przezierną odwieczne, jak dusza ludzka pierwotne pismo, kreślone w duszy ręką Stwórcy i które się nazywa tęsknotą do Boga. I wbrew i naopak wszystkiemu istotne, najgłębsze pragnienia i poszukiwania człowieka chodzą zawsze temi tajemniczymi ścieżkami, jakiemi tradycja kreśli na ziemi drogę Bożych objawień. Dlatego miliony i miliony będą rokrocznie pielgrzymowały do Palestyny i Jerozolimy, szukając niestartych dwoma tysiącami lat śladów stóp Syna Bożego. Dlatego po wielu, a wielu miejscowościach ziemi stoją świątynie i pomniki, uświęcające tradycję jakiegoś niezwykłego wypadku, kiedy niebo szczególnie wyraźnie objawiło swoją wolę ziemi. I dlatego też tego lata, idąc za głosem moich pierwotnych, przez codzienność zakrytych dociekań, postanowiłam osobiście zwiedzić niektóre bodaj z uprzywilejowanych objawieniami miejsc w najbliższym nas kraju — Francji.

Oczywiście, że na pierwszy ogień wybrałam — Lourdes.

Z tych, czy innych powodów stało się, że sławnej książki Zoli o tym tytule do dnia wyjazdu nie czytałam. I tak już widocznie było trzeba, abym nie jechała uprzedzona, bo nawet mając ją w ręku, straciłam jej ślad. Wyglądało to tem zabawniej, że okrzyczane „Lourdes” było pierwszą książką, na jaką padły moje oczy na sławnych antykwarskich ladach nadsekwańskich w Paryżu. Ale nic dziwnego: tam — mogłam być roztargniona! Bo Paryż jest jedną z najcudowniejszych i archaicznych stolic świata, a nadsekwańskie bulwary z antykwarniami na cembrowanych parapetach rzeki — jest to jeden z jego najromantyczniej archaicznych zakątków.

Nad Sekwaną, srebrzyście luszczącą się pod blaskami zachodu ściele się najcudowniejsza, nieopisanej subtelności mgła, przesycona wszystkimi pastelami, jakie nie domarły na palecie wieczornego nieba. Wszystko się zagwi: woda, mury domów nad rzeką, drzewa, palące się w czerwonych rozblaskach, wieża Eiffla, cały świat! Niebo jeszcze goreje, a ziemia już zmierzcha w najcudowniejszą błękitną tony. Wspaniałe, kolosalnie zakreślone perspektywy Pól Elizejskich i Lasku Bulońskiego zaczynają powoli uciekać srebrnymi światłami latarni od ciemni drzew do rozjarzającego się tysiącem świateł placu Concorde — okrężnej, zawrotnej, wibrującej i wirującej krzyżownicy paryskich ulic. Tysiące aut z suchym szelestem gum po świetnej jezdni pędzą na siebie ze wszystkich alei z impetem, od którego prófanowi robi się zimno i gorąco. Nic im nie będzie. Szoferzy francuscy nie jeżdżą, a haftują, jak słusznie gdzieś ktoś powiedział. Gdybyśmy byli bogaci i gdyby magistrat nasz chciał być Konopnicką, toby strajkujących naszych szoferów wziął za rączkę i posłał do Francji z łagodnym uśmiechem i wiekopomnymi słowami: — Pójdź, dziecko, ja cię uczyć każę!... — Niechby się biedaczkowie przyjrżeli, co to znaczy potrafić tak szoferować, i to w takim Paryżu.. a potem przeprosili cierpliwą warszawską publiczność i zażądali zwrotu kosztów od tego, kto im powiedział, że jeździć umieją!

Ale to w nawiasie. Jesteśmy nad Sekwaną. Drzewa, schodeczki, stąteczki. Na schodeczkach — pary. Ona wraca z magazynu, on — pewno jest malarzem. A czasem ona jest studentką, a on tudzież. Czasem Bóg ich raczy wiedzieć, kim są: są młodzi i kochają się na umór, to jedno jest wiadomo! Przycupnęli na parapecie Sekwany, jedząc smażone migdałki i obficie się całują w przerwach, bo to w Paryżu jest jak chleb powszedni. Jej włosy palą się ostatnimi blaskami zachodu, a jemu te same blaski niedyskretnie wywabiają z czarnego płaszcza nitki, osiwione przez

czas. Ale oboje są szczęśliwi i takimi będą jeszcze co najmniej przez trzy tygodnie. Potem mogą się spotkać w tych samych okolicach w innej zupełnie konstelacji sercowej, i życzliwie sobie pokiwać. Nie trzeba sobie komplikować życia żałami!

Z Lasku pędzą tajemnicze samochody. Jeszcze bardziej tajemnicze pędzą o tym błękitnoczerwonym zmięczeniu do Lasku. W mieście wielkie kawiarnie, bary i kabarety zaczynają rytmicznie oddychać czerwonymi i zielonymi ogniami mrugliwych reklam. Cały Paryż śródmiejski staje się wyiskrzonym klejnotem. Wspaniałe wystawy zaczynają się mienić cudami pomysłów. Ulica brylantów — rue de la Paix — jak tysiącooki wąż o drogocennych żrenicach, magnetyzuje zgrabniutki paryżaneczki, które bezwzględnie dają się wciągać w rozwarte na ich zgubę chytre paszce jubilerskich sklepów. Na wielkich bulwarach (które nie mają zresztą z bulwarami nic wspólnego, tylko są amfiladą najszykowniejszych kawiarniano-sklepowych ulic Paryża) — czarne mrowie ludzi tłoczy się pod markizami modnych café. Trzeba tam zapłacić dużo drożej, niż gdziekolwiek za te same brioski z kawą, ale można tam i zobaczyć dużo więcej przez tę samą parę oczu z pod rzęs. Rzęsy są w Paryżu sowskie uczernione i usta nieskapo ukarminowane. Ale świadczą się wszelkimi bóstwami modniarskimi, że warszawianki niczem co do strojów nie ustępują paryżankom, i że dobrze ubrana kobieta, jest zarówno dobrze ubrana tu, jak tam. Tylko naogół, tam tych ubranych jest nierównie więcej, i stąd tłum robi wrażenie strojnieszego. Ale potwierdzam na tem miejscu najgorzej, powszechne już dziś na szczęście zdanie, że ubierać się, wyjeżdżając, trzeba bezwarunkowo u siebie w kraju, bo tam będzie to drożej i gorzej. Tylko znając miejscowe źródła i sekrety (którymi bynajmniej nie jest popularny u nas Lafayette) można istotnie coś zyskać. W przeciwnym razie — wręcz naodwrot. I w tłoku, jaki się mrowi około wielkich magazynów przed zamknięciem, gorąco radzę rodaczkom zachować raczej rolę kontemplacyjną, co i tak, samo przez się, jest źródłem szczerzej rozkoszy.

Czego bo tam niema i czego by się nie chciało mieć! Babilon nowoczesny, o którym tyle się słyszy, otwiera swoje stukolorowe, rubinami reklam sadzone oczy pomiędzy Operą a Louvrem, poprzez Madeleine'e i Montmartre, upatrując codzien na świeżo nieschwytanej jeszcze falangi ofiar. Ofiary są rozkoszne, w swoich fantazyjnie zarzuconych apaszkach i futerkach i nie dają się długo namawiać, sądząc z tego, jak je nam przedstawia współczesny romans francuski. Ale robią to z dużym wdziękiem i bez efronterji zewnętrznej, czem niezmiernie dodatnio się różnią od niejednej „takowej“ u nas. Mają milion miękkości i czaru w najmniej wyszukanej nawet sferze towarzyskiej, ba! Posiadły niejako technikę „sztuki czarowania“. Na tem głównie — nie na stroju zewnętrznym, jak u nas mylnie sądzą!... — polega ich osławio-

ny „szyk“. Paryżanka nie żałuje uśmiechu — i karminuje go bardzo starannie. Paryżanka unika marsów, bo robi to przedwczesne zmarszczki. Paryżanka jest zawsze, dla mężczyzny, który jej się niczem nie naraził, uprzejmą: bo — kto wie, co z tego może być? I paryżanka zbiera ze swej mądrości życiowej obfity plon. O tej przedwieczornej godzinie jest na ulicy i wszędzie jej pełno: przed wystawami, po sklepach, po kawiarniach, na chodniku, w kinie, w parku, w Lasku, w aucie, przy kierownicy i za spuszczoną firanką: jedzie na obiad, który będzie jadła około ósmej, z sześciu dań, na które się złożą nasze dwa, osobno rozsegregowane na sztukę mięsa, cebulę, marchewkę, sałatę, sól i pieprz.

A po drugiej stronie Sekwany, gdzie się przytailo romantyczne, wczorajsze, zamyślane miasto, jest błękitnie i cicho. Czworoboczne baszty Notre - Dame rysują na niebie wspaniałą koronkę rozet i wykuszów. Sławne potwory, djabły, sowy i wilkołaki, ciekawie pochylają się z wieżyc nadół, zobaczyć, co się dzieje na ulicach. Uwięzione w rozwidlu wysepki stare pałace, skupiają się ciasniej ku sobie. Gdzieś wśród nich przytuliła się i Biblioteka Polska, żywa pamięcią Mickiewicza i powstania. Strzeliste igły i kopuły na prawo i nalewo kreślą na niebie, jak szpilki na mapie, drogę, którą po ziemi szła historia. Sekwana pluszcze pod lotniami łukami mostów, wyginając się jak wielka srebrna gąsiennica w pierścieniach łusk. A na ocembrowaniu jej parapetów na wielką, wielką długość rozłożyli się ze swymi zamykaniami ładami, kryjącymi małe żadnostki obok bezcennych zabytków, paryscy, nadsekwańscy antykwariusze.

Tam to, pewnego przedwieczera, zobaczyłam na żółtej okładce osławioną książkę Zoli. Kupiłam. Trzeba wiedzieć, co piszą przeciwnicy! Ale tomy były tak grube, wieczór tak cudny, a perspektywa bulwaru tak tajemniczo nęciła, aby iść przed siebie dalej, daleko, jaknajdalej, że... zostawiłam książkę właścicielce lady z tem, aby wrócić po nią jutro lub za dwa dni. Ale zapatrzyłam się w czerwone zachodnie żagwieniem, fantastyczne larwy na rusztowaniu katedry, które uwięziły w żarłocznych paszczach natchnienie genialnego romansopisarza, i — zapomniałam, gdzie kupiłam książkę! Napróżno nazajutrz i potem obchodziłam pracowicie wszystkie skrzynki od początku do końca: ani śladu mojego Lourdes. I dopiero ostatniego dnia i dosłownie ostatniej godziny przez wyjazd z Paryża, zobaczyłam ją znowu na wierzchu: zdenerwowana właścicielka zwątpiła w mój powrót i wydobyla ją z ukrycia. Porwałam łapczywie zdobycz i — zapomniałam na stole, ponieważ walizki już były zapakowane. Przeznaczenie! Tyle rozrządzeń w zrównoważonej skądinąd mojej jaźni nie mogło się tłumaczyć samym przypadkiem.

I tak się stało, że przyjechałam do Lourdes, nie wiedząc, co o nim myślą wrogowie, ni sprzymierzeńcy — a o czem będzie na następny raz.

STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

POMRUK NIESKOŃCZONOŚCI

Joseph Conrad: „Ocalenie” opowieść z płytkiego morza, tłumaczyła z angielskiego Aniela Zagórska.

Podobało się Conradowi nazwać „Ocalenie” opowieścią z płytkiego morza, a tymczasem ten tytuł zawiera rażącą sprzeczność z treścią książki, bowiem jest ona historią jednej z najtragiczniejszych klęsk, jakie mocen jest ponieść człowiek, a głębokość ujęcia tej klęski jest tak wielka, że graniczy z nieskończonością.

Niepodobna streszczać dzieł Conrada, powiem więcej: nie godzi się tego czynić. Byłoby to wypruwanie arterji z żywego ciała. Postępek równie bezcelowy, jak okrutny. Bowiem u Conrada przygoda jest tylko pretekstem, wszystkim jest dusza ludzka, sama sobie rodząca własne przeznaczenie. Jak nabój dynamitu zatknięty w skałę, drzemie w niej wielka namiętność. Lata przechodzą, zanim zabłąkana iskra padnie na lont i opokę rozsadzi...

„Ocalenie” jest właśnie zobrazowaniem „au ralenti” tego momentu psychicznego, jaki mija między zapruszeniem ognia podniety uczuciowej, a wybuchem namiętności, zmieniającym istnienie ludzkie w zgliszcza.

Użycie zwrotu „au ralenti” bynajmniej nie ma na celu pomawiania Conrada o rozwlekłość. Ten człowiek morza, zbratany z przestrzenią, przywykł mierzyć czas nie tempem zdarzeń, ale rytmem ludzkiego serca. Wydaje mu się to rzeczą tak naturalną, że nie uważa za stosowne nas o tem uprzedzać. Dopiero, zamykając książkę, czujemy, że wszystko w niej było potrzebne, nawet pozornie ospałe wdrażanie akcji. Gdybyśmy nie nabyli pewnej wprawy w towarzyszeniu Conradowi na płaszczyznach, czyżbyśmy zdołali dotrzymać mu kroku na szczytach? A przecież dzięki skrupulatnie stosowanej przez Conrada metody hierarchizowania namiętności, docieramy niepostrzeżenie do takich szczytów ich rozwoju, że brak nam tchu. Z podziwem i przerażeniem patrzymy na tego tytana, który porusza się swobodnie nad przepaścią, podczas gdy my dawno stracilibyśmy już równowagę i panowanie nad sobą. W tych momentach rozterki duchowej jedna myśl utrzymuje nas na powierzchni żywiołowych zdarzeń: świadomość, że „on” czuwa, że „on” nas nie zawiedzie. I Conrad nie zawodzi nigdy.

W tej niezłomności moralnej tkwi to, co możnaby nazwać nadludzkością Conrada. Przerasta on o całe niebo nietylko przeciętne rzesze czytelników, ale i wyjątkowe postacie swych bohaterów skalą etyczną, jaką do ich czynów przykłada. Jest panem ich życia i śmierci, rodzicem, sędzią, katem i wskrzesicielem. Tę władzę niemal nadprzyrodzoną osiąga nieznacznie, stopniowo, bez brutalnych efektów i chamskiego pomiatania materiałem, środkami naj-

prostsze, a zarazem najbardziej dostojnymi, jakimi rozporządzać może tylko prawdziwy mocarz ducha i słowa. Zrazu jakby przygląda im się z boku, za chwilę już jest przy nich, już jest z nimi, wchodzi w ich wnętrze, jak do własnego domu, ogarnia je, już jest ponad nimi i odtąd prowadzi ich losy z żelazną konsekwencją, nieubłagany, jak ręka Boga.

W samej metodzie jego kompozycji tkwi zło wrogi fatalizm. Jest to metoda stopniowego rozrastania się akcji, której towarzyszy, albo którą wyprzedza rozrastanie się namiętności. Punktem wyjścia dla Conrada jest zawsze centrum koła, którego obwód jest nam nieznan, kto wie, czy znany samemu Conradowi, może nim być nieskończoność. Od tego wspólnego ogniska rozchodzą się coraz szersze kręgi, jak od kamienia rzuconego w wodę, wciągając ludzi i wypadki w potworny lej żarłocznej namiętności. Z tego kataklizmu tylko miernoty i szubrawcy wychodzą cało. Wielkie serca pękają pod naporem własnych uczuć, dla których świat jest za ciasny, ale w których ciśnieniu Conrad czuje się najlżej. Urodzony żeglarz nie znosi ciszy. Burza, to jego żywioł. Ściąga ją na głowy swych ulubieńców, aby w blasku błyskawic i w huku piorunów rozkwitło nieśmiertelne piękno ich duszy.

Taką burzą w życiu Lingarda, bohatera „Ocalenia”, jest miłość. Możeby nigdy nie stała się tak wielką, gdyby do jej stóp nie rzucił Conrad trzech potężnych współzawodników: dumy, przyjaźni i honoru, których cienie podniosły jej olśniewający blask. Moc miłości mierzy się wielkością pokonanych przez nią uczuć — jest to sprawdzian niezawodny. Rażony jej czarem Lingard walczy z sobą, naprzód w imię dumy, potem przyjaźni, wreszcie honoru. Stopniowo odpadają od niego te wszystkie uczucia, jak łuski. Miłość nie uznaje równych sobie sąsiadów.

Ale ta wyłączność mści się w sposób fatalny na Lingardzie. Kiedy splot wypadków wciągnie go w matnię, zostanie go bezbronnym niewolnikiem namiętności. Skrzydlaty złoczyńca odarł go ze wszystkiego, co dla takiego człowieka, jak Lingard, mogło mieć wartość, nie dając mu nic wzamian, prócz wzgardy dla samego siebie i poczucia niedosytu wobec własnej namiętności. Nawet bowiem po owym jedynym żywiołowym uścisku wśród nocy podzwrotnikowej, uścisku, który go duchowo obezwładni, sparaliżuje jego żądzę czynu i na zawsze przekreśli jego wielkie marzenia o potędze — nawet wówczas Lingard czuje, że przedmiot jego ukochania jest mu równie obcy i daleki, jak przedtem. Wszystkie katastrofy, które walą się odtąd na jego bezbronną głowę, pogłębiają jeszcze przepaść, jaka dzieli tego wi-

zjonera, tego człowieka „o nieskończonych złudzeniach“, od kobiety, która sama o sobie mówi, że jest pozerką, i że nie czuje nawet wyrzutów sumienia wobec klęsk, których stała się przyczyną — czuje tylko rozpacz. I tu najjaskrawiej zarysowuje się niewspółmierność uczuciowa i etyczna tych dwojga silnych ludzi, z których mężczyzna postawił wszystko na kartę w grze o miłość, a kobieta bez skrupułów zgarnęła wygraną, okupioną życiem wielu ludzi, stratą ukochanego i własnym upokorzeniem. Miłość i śmierć! Miłość Lingarda była tak potężną, tak oślepiającą, że trzeba było aż śmierci najbliższych mu istot, aby przejrzał. „Patrzę na panią poraz pierwszy — mówi Lingard podczas ostatniej rozmowy z panią Travers. — „Nigdy jeszcze nie mogłem pani się przyjrzeć. Za wiele było rzeczy, za wiele myśli, za wielu ludzi. Nie, wcale jeszcze pani nie widziałem. Ale teraz świat już umarł“.

A trochę później: „Nienawiść. Miłość. I cóż panią może osiągnąć? Dla mnie pani stoi nawet ponad śmiercią; bo widzę teraz, że nie umrze pani, póki ja żyję“.

Ostatnie karty „Ocalenia“ zawierają w sobie tyle skondensowanej rozpacz, że mimowoli łaknie się krzyku, któryby ją wyzwolił. Ale w dzwonie umarłej miłości zabrakło serca, jest niemy. Słowa, skąpo wymierzane przez Conrada, zdają się wychodzić nie z piersi człowieka, ale z piersi kosmosu. Pod ich logicznym tokiem płynie ku nam zew otchłani, pomruk nieskończoności.

„Ocalenie“ to może jeden z najwyższych wzlotów Conrada, coś, co całkowicie nasycza, zaspakaja, a nawet przekracza nasze sny o potędze twórczej i o pojemności serca ludzkiego. Przytłoczeni tym podwójnym ciężarem, doznajemy sadystycznej niemal rozkoszy samounicestwienia. A jednocześnie dużą naszą napęla uczucie ulgi, podobne do tego, jakiego doświadczały grecy po wysłuchaniu tragedji, a które nazywali „catharsis“, oczyszczeniem.

Oto zdjęta została z nas klątwa wielkości, pod której grozą kazano nam żyć przez cały czas czytania „Ocalenia“. Znika groza, ale pozostaje czar. I tu właśnie, na tem zbrataniu mas czytelnicznych z wielkością, na tym moralnym przymusie wspinania się na szczyty ducha, ginące w mrokach nieskończoności, polega wychowawcze znaczenie Conrada.

Wielcy poeci bywają zwykle wielkimi nauczycielami ludzkości. Dlatego mówi się do nich: „Mistrzu!“ Wśród współczesnych pisarzy nie widzę nikogo, ktoby w równym stopniu, jak Conrad, zasłużył na to wzniosłe i pełne czci miano.

O przekładzie pani Anieli Zagórskiej można powiedzieć tylko to, że się go nie czuje. Czytając „Ocalenie“, ulega się ciągle wrażeniu, że się ma do czynienia z oryginałem. Nie przychodzi nigdy do głowy zapytać, jak to tam jest naprawdę u Conrada. Nic nie staje na przeszkodzie do całkowitego zespolenia się czytelnika z autorem. A to jest może największe zwycięstwo tłumacza.

NA DROGACH WŁASNEGO „JA“

W naszym szybko mijającym życiu, w rwącym potoku przemian społecznych, niezmiernie łatwo giną w pamięci postacie wybitne, przepadają słowa i gesty, które były niegdyś bezcenne, niezastąpione i wybijały nowy takt sprawom nadchodzącym.

„O kobiecie współczesnej i kobiecie przyszłości“ — niedawno wyszła z druku książka, jest aktualnym przypomnieniem o pracach i działalności kobiety, która odegrała w ruchu kobiecym w Polsce poważną rolę, dzięki talentowi publicystycznemu, wykształceniu i szerokim poglądom. Jest to zbiór artykułów i przemówień niedawno zmarłej Ludwiki Jahołkowskiej-Koszutskiej, wydany staraniem męża, Stanisława Koszutkiego.

Niema w tej książce rzeczy przebrzmiałych. Głęboko ujęte zagadnienia stosunku kobiety do jej własnego „ja“ i do społeczeństwa, analiza warunków, które po dziś dzień czynią z wielu kobiet prawdziwe niewolnice mężczyzny i rodziny, mądre rozważania i wskazówki, mają w sobie moc sugestywną.

Jako wybitna literatka i publicystka, jako pe-

dagog i działaczka społeczna — zawsze i wszędzie Ludwika Jahołkowska - Koszutska służyła sprawie wyzwolenia kobiety.

Była urodzoną społecniczką i demokratką. Idei reform społecznych dla lepszego Jutra ludzkości zaczęła służyć czynnie od roku 1891 przez prace w Kole Radykalnej Młodzieży warszawskiej — głównie uniwersyteckiej — i spółdziałanie ze sferami tej inteligencji, która skupiała się przy ówczesnym Związku Robotniczym.

Bogactwem talentu literackiego zabłysła we wczesnej młodości. W okresie 1895-1900 drukuje pod pseudonimem Lassoty nowele: „Odpowiedź“ i „Spotkanie“ i powieść „Z teki wrażeń“, ujętą w formę pamiętnika mężczyzny.

Jahołkowska, poświęciwszy się pedagogice, szuka nowych dróg w wychowaniu młodzieży. Wprowadza nowy naówczas kierunek wychowania przedszkolnego i prowadzi w Warszawie szkołę freblowską dla dzieci oraz kursy dla freblanek. Jako gorąca patriotka, jest w ciągłym konflikcie z rosyj-



Ludwika Jahółkowska-Koszutska

skiem i władzami szkolnymi, które tropią jej „nieprawy myślenie”. Po zlikwidowaniu swych szkół, Ludwika Jahółkowska - Koszutska prowadzi w ciągu prawie 30-tu lat biuro nauczycielskie, wywierając wpływ na osoby, pracujące na niwie pedagogicznej.

Los kobiety, zwłaszcza pracującej, jej rola w społeczeństwie i jej upośledzenie w zakresie prawa pisanego i zwyczajów, oto zagadnienie, które nie dawało spokoju niepospolitej działaczce. Wyrazem tych uczuć są jej nowele, oraz powieść: „Z oddali”. Z głębokiego umiłowania wolności i niezależności zrodził się w duszy Ludwiki Jahółkowskiej-Koszutskiej bunt przeciw supremacji mężczyzny nad kobietą. Z całą mocą przekonania staje wtedy u boku Pauliny Reinszmidt-Kuczalskiej w Związku Równouprawnienia Kobiet Polskich, a następnie, szukając szerszego ujścia dla swych ideałów demokratycznych — wspólnie z Teodorą Męczkowską, dr. Popławską, Cecylją Walewską, Różą Brunnerową i innymi działaczkami, zakłada w roku 1907 Polskie Stowarzyszenie Równouprawnienia Kobiet, i staje na czele, jako jego prezeska.

Urządza mnóstwo zebrań, odczytów, dyskusyj. Słowem i piórem zwalcza istniejące przesady, kępujące kobietę. W świetnej broszurze p. t. „Herezje Ruchu Kobięcego” polemizuje z poglądami Ellen Key („Trwonienie sił kobiecych”), żądając dla ko-

biety prawa do wszechstronnego rozwoju jej indywidualności. Wierzy niezachwianie w zdolności twórcze duszy kobiecej. Wzywa kobiety do solidarnego wysiłku poszukiwania samej siebie, swego w pochodzie dziejów zagubionego — chociaż bez swej winy — własnego „ja”. Oto parę jej myśli:

„... kobieta była medjum mężczyzny, który ją tak zasugerował, jak mu było dogodniej” — „Hodowano z zupełną dla hodowców korzyścią dwie wrogie dla siebie rasy: mrówek i koników polnych, obie nieszczęśliwe, gdyż obie pozbawione praw pełnego rozwoju — praw życia dla siebie”. — „Przełom doby dzisiejszej odbił się szczególnie na kobietach pracy: na nie spadł obowiązek walki o jutro, na nich zaciężyły wszystkie klęski dnia dzisiejszego. Umysł, przepracowany rozwiązywaniem problemów myśli, ciało, znużone pracą na chleb powszedni, dusza, subtelnie wyczulona, głodna życia, osamotniona, nowa w tendencjach, lecz obciążona upiorami przeszłości”. — „Trzeba mieć odwagę poszukiwania samej siebie i w tych dążeniach nie ustawać, chociażby wypadło obalić po drodze niejednego z oddawna czczonych fetyszów. Nie propaguję ciasnego egotyzmu, ani ciaśniejszego jeszcze egoizmu, tylko bujny, wszechstronny rozwój osobowości... Można się poświęcić, nawet umrzeć dla idei, samorzutnie wybranej, ukochanej, lecz nie wolno robić z siebie całopalenia przy ogniu dymiącej kuchenki domowej”.

Ludwika Jahółkowska - Koszutska była jedną z współorganizatorek Zjazdu Kobiet Polskich w Warszawie w r. 1917 i wygłosiła przy tej okazji głęboko ujęty referat na temat „Wpływ wojny na sprawę kobiecą”, mówiąc między innymi: „Jeśli po skończonej wojnie odważono się powiedzieć kobiecie — że murzyn, który spełnił swą pracę, może odejść — to ona tego rozkazu nie wykona!”.

Niepodległość Państwa Polskiego przyniosła istotnie kobietom prawa polityczne i samorządowe. Ludwika Jahółkowska - Koszutska, wysunięta przez organizacje kobiece na stanowisko radnej miasta stołecznego, przez lat 8 brała żywy udział w tworzącym się życiu samorządu warszawskiego. Należała do Koła Reform Demokratycznych, pracowała w radzie miejskiej i jej komisjach, zwłaszcza w komisji szkolnej, w której położyła duże zasługi. Szczególnie obchodziło ją żywo szkolnictwo zawodowe żeńskie, do którego przywiązywała ogromną wagę, a opieka społeczna ma jej do zawdzięczenia coroczny pokazny dochód z restauracji i imprez nocy sylwestrowej, gdyż na jej to wniosek rada miejska powzięła taką uchwałę. Jako jedna z najwybitniejszych kobiet obozu postępowego była też jedną z założycielek Centralnego Komitetu Równouprawnienia Politycznego Kobiet Polskich, a po likwidacji tej instytucji — Klubu Politycznego Kobiet Postępowych.

Zmarła dn. 27 października 1928 r. w wieku lat 56.

J. K.



TEATR NARODOWY

„Wiosna narodów w cichym zakątku“, krakowska komedia historyczna w 4 aktach Adolfa Nowaczyńskiego. Reżyserja Emila Chaberskiego. Dekoracje W. Drabika.

„Wiosna narodów“ pół roku temu wstrząsnęła w posadach „cichy zakątek“ podwawelski. Zapienilo się żółcią pół Krakowa. Echa skandalu konkursowego, związanego z nagrodzeniem tej sztuki, rozeszły się po całym kraju. W ten sposób Kraków rozpaczliwie dawał znać, że żyje. Nietyle entuzjazmem, jak to dawniej bywało, ile oburzeniem.

„Paszkwil, paszkwil!“ powtarzano, wymieniając ścicha nazwiska i osoby. Zdawało się, że Nowaczyński zgrzeblem satyry pod włos przejechał po nietykalnych czuprynach wielkości krakowskich, skoro tyle iskier sypnęło się z pod grzebienia. Niejeden spadkobierca stańczykowskich ideałów ujrzał napewno w tem „małpiem zwierciadle“ własne, groteskowo wykrzywione oblicze, ale to jeszcze dowód, aby sztukę mianować politycznym pamfletem. Wystawienie jej na scenie teatru Narodowego dowiodło, że w pogłoskach o jej zjadliwości, więcej było dymu, niż ognia. Trudno wymagać, żeby ten łucznik persiflażu, w którego kołczanie wszystkie strzały są zatrute, zmienił się nagle w czulego Filona, wygrywającego na fujarce melodie patryjotyczne.

Entuzjazm Nowaczyńskiego niema skrzydeł, ma tylko kły i pazury. I dlatego jego „Wiosna narodów w cichym zakątku“ jest „burzą w szklance wody na partykularzu“, jest rewolucją 1848 r., pomniejszoną i pokazaną we wklęsłym zwierciadle.

Całe ówczesne społeczeństwo krakowskie w koncepcji Nowaczyńskiego rozpada się na dwa obozy: starych, tchórzliwych kretynów, płaszcących się przed Austrią, i niedowarzonych, choć pełnych zapału żółtodziobów, którzy, jak dzieci, bawią się w wojsko i powstanie. Najzłośliwszy karykaturzysta ruchów wolnościowych nie mógłby wymyślić śmieszniejszej parodji rewolucji, jak mustry „ojczyźniaków“ i posiedzenia komitetu narodowego. Dodajmy, że reżyserja zrobiła wszystko, żeby uwypuklić groteskowość tych scen. I to na każdym kroku. Wszędzie starano się doprowadzić swoistą manierę autora do absurdu, być bardziej Nowaczyńskim od samego Nowaczyńskiego. I to się mści na sztuce, niepozobawionej zresztą pewnej, naskroś lokalnej ideologii.

Założeniem Nowaczyńskiego było dowieść, że najlepszy patrijoci w Polsce są pochodzenia obcego. Czy tem chciał zdyskredytować patrijotyzm rodowitych sarmatów krakowskich, czy wykazać siłę asymilacyjną narodu polskiego? Może i jedno i drugie, wkażdym razie skureczył zagadnienie rasy do rozmiarów anegdoty, podchodząc do niego od strony jedynie dla niego dostępnej: od strony komizmu.

Bo któż to są ci jego najlepsi polacy i najwięksi wrogowie Austrii? Właścicielka kawiarni i wdowa po austriackim wojskowym — Maman Liedermajer, profesor dr. Herman Augustus Spiesbürger, czech Nedostał, no i... żydek Rosenstoff. Przykrem i upokarzającym jest nie to, że ci ludzie proklamują swoje polskie uczucia z gorliwością neofitów, ale że oni niejako muszą uczyć rodowitych polaków odwagi, godności i honoru. Jakże wstępnem wydaje się kunktatorstwo Potockiego i całej jego kliki, to płaszczenie się przed potęgą Habsburgów, wobec szlachetnych, nie liczących się z następstwami odruchów patryjotycznych profesora Spiesbürgera, czecha Nedostała, skromnego i śmiesznego człowieczka, który w decydującej chwili umie rzu-

cić pod nogi przewrotnemu austriackiemu satrapie swój mundur urzędniczy i ordery, albo Maman Liedermajer, wypędzającej ze swej kawiarni policję i wojskowych ku zgorszeniu lojalnych dostojników galicyjskich.

Ci ludzie nowi, przybysze bez tradycji i przeszłości rodowej, ci ludzie o obcych nazwiskach sami jedni ratują honor Krakowa, skoro się nie udało odzyskać jego niepodległości. I tu tkwi zatrute źródło jadu. O to mógł się obrazić Kraków, nie Kraków stańczyków, dewotek, pasibrzuchów i drżących o swe fortuny magnatów, ale Kraków tej duchowej elity, która w pół wieku później wydała Matejkę, Wyspiańskiego i cały polski neoromantyzm przedwojenny. Być może, że chemiczna analiza atmosfery krakowskiej z 1848 roku dokonana jest zgodnie z rzeczywistością, ale od dramaturga oczekujemy przedewszystkiem syntezy.

Śmiech „Wiosny narodów“ brzmi dla ucha polskiego fałszywie. Jej komizm jest niesmaczny, a mógłby graniczyć z tragizmem, gdyż źródłem jego jest dysproporcja pomiędzy ogromem napięcia uczuciowego, a beznadziejnym rezultatem dziecinnych wysiłków.

Jest w „Wiosnie narodów“ jedna scena, która dla wyjaśnienia stosunku Nowaczyńskiego do zjawisk dziejowych może odegrać rolę rewelacyjnego symbolu. Oto po zdemaskowaniu starostwa przez rewolucjonistów, wspomniany już żyd Rosenstoff starannie wysypuje scenę jakimś proszkiem.

— Poco pan sypie ten cukier — pyta ktoś z obecnych.

— To nie cukier, to jest asafetyda, — odpowiada Rosenstoff. — Tu za chwilę będzie taki smród, że nikt nie będzie mógł wytrzymać.

Nowaczyński lubi historję opylać asafetydą. Wytwarza atmosferę, w której trudno długo wytrzymać. Tembardziej, że łączy z nią upodobanie do niechlujstwa językowego. W „Wiosnie narodów“ podobnie, jak w „Dymitrze Samozwańcu“ i „Wielkim Fryderyku“ nikt nie mówi uczciwie, jak Bóg przykazał, swoim własnym językiem. Wszystkie narzeczka słowiańskie, niemieckie i francuskie w kazirodczych uściskach tańczą jakąś potworną sarabandę makaronizmów, żargonów i volapüków. To już nie nałóg, to niemal kalectwo, ta skłonność do wydwarzania językowego.

„Wiosna narodów“ ma perspektywę znacznie płytszą i horyzont ciałniejszy od Dymitra i Fryderyka. Temperament Nowaczyńskiego dusi się w jej ciasnych ramach, wyladując się w drobniactwach, a zawodząc w najważniejszym momencie: w epilogu. Że rewolucja rozeszła się po kościach, to rzecz wiadoma, ale czy dlatego i budowa sztuki miała się koniecznie rozleźć na wszystkich szwach? Po takim majstrze scenicznym, jak Nowaczyński, spodziewaliśmy się lepszego zakończenia. Niedarmo Walek niemowa w ostatnim akcie zalał pomjami fajerwerki. Spaliło na panewce.

Głównym, a może jedynym urokiem sztuki są doskonałe sylwetki ludzkie. Tuzy naszej sceny Narodowej miały wdzięczne pole do popisu.

Solski jako Krieg dał nam jakby pomniejszone echo siebie samego w roli Wielkiego Fritza. Brydziński był hrabią ściśle według żurnalu z roku Pańskiego 1848. Węgrzyn przeszedł samego siebie. Wydobył z roli Nedostała wszystkie skarby komizmu, ukryte w tej postaci, szczęśliwie omijając niebezpieczeństwo szarzy, równie groźne w rolach charakterystycznych, jak patos w tragicznych. Cwiklińska była uroczą, zanadto uroczą na Heroda - babę maman Liedermajer. Jej córeczki były mdle i ekliwe, zarówno w rysunku autora, jak w interpretacji aktorskiej. Szczęśliwym pomysłem było przeszczerzenie Orwida na pień komedjowy w roli Rosenstoffa, potraktowanej ze szczerem, a nieprzesadnym humorem. Reszta ról obsadzona mniej lub więcej szczęśliwie. Całość zgrana doskonale, sceny zbiorowe szły gładko i we właściwym tempie. Kostjumy poprawne, ściśle zgodne z epoką. Dekoracje, jak na Drabika, wyjątkowo banalne. Nie czuć w nich było ani Krakowa, ani wiosny narodów, — jakiś „k. u. k. tabac - trafik“ z austriackiego miasteczka.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

SMIERTELNOŚĆ PRZY PORODACH.

Ciekawe cyfry przynoszą statystyki w tej sprawie. Na tysiąc dzieci urodzonych i zostających przy życiu umiera matek: w Holandji 2,5; w Danji, Norwegji i Szwecji 2,6; w Anglji i Walji 3,8; w Niemczech 5,3; w Szkocji 5,8; zaś w Ameryce 6 matek.

Ginie tam rocznie 15 tysięcy kobiet przy urodzeniu dzieci, i o ile opieka nad dzieckiem daje tam świetne wyniki i jest zorganizowana doskonale, o tyle śmiertelność położnych nie zmalała ani na jotę w ciągu ostatnich lat dziesięciu.

To też uderzono tam w wielki dzwon na alarm. Postanowiono zorganizować kadry akuserek, posiadających dyplom państwowy i całkowicie odpowiedzialnych za swą pracę. A nade wszystko zorganizowano opiekę nad kobietą ciężarną. Jedno z towarzystw opieki nad matką ciężarną, nie wykazało ani jednego śmiertelnego porodu wśród 2 tysięcy matek, pozostających pod jego pieczą. Byłoby niezmiernie ciekawem porównać cyfry powyższe z istniejącym u nas stanem rzeczy. *M. D.*

DWA NOWE LICEA ZAWODOWE.

Czyniąc zadość ogólnie odczuwanej potrzebie, Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego otwiera od 1 września b. r. przy Państwowej Szkole Przemysłowej Żeńskiej w Warszawie dwa licea zawodowe, a mianowicie: Liceum Przemysłowe z wydziałem badania środków żywności i przedmiotów użytku i Liceum Handlowe. Oba licea przyjmują młodzież z ukończoną 6-tą klasą gimnazjalną (Liceum Przemysłowe wyłącznie z gimnazjów matematyczno - przyrodniczych). Kurs nauki dwuletni. W Liceum Przemysłowym obowiązuje praktyka roczna. Celem Liceum Przemysłowego jest szkolenie personelu pomocniczego dla komunalnych pracowni badania środków spożywczych i przedmiotów użytku, powołanemi do życia rozporządzeniem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 22 marca 1928 roku. Liceum Handlowe przygotowuje pracowniczki do biurowości i handlu.

Zapisy przyjmuje kancelarja szkoły, ulica Górnośląska 51 w godzinach 12 — 4.

ZAKŁADY OPIEKUNCZO - WYCHOWAWCZE.

Z dóbr państwowych mają zostać wyłączone w każdym województwie objekty, potrzebne pod budowę i rozszerzenie wojewódzkich zakładów opiekuńczo - wychowawczych. Do tych zakładów będą przyjmowane dzieci w wieku od lat 14 włącznie, potrzebujące opieki społecznej, w wyjątkowych jedynie wypadkach do tych zakładów będą mogły być przyjmowane dzieci starsze. Dzieci umieszczone w tych zakładach będą tam przebywać do ukończenia lat 17.

Pierwszeństwo zastrzeżone dla sierot po poległych i zmarłych, których śmierć pozostaje w związku przyczynowym z wykonaniem ich służbowych obowiązków wobec Państwa i związków komunalnych danego województwa, w drugiej linii—sieroty po osobach, które położyły szczególne zasługi w pracy państwowej, samorządowej i społecznej, wreszcie dzieci umieszczone w zakładach przez gminy tego województwa, którego związek komunalny zakład utrzymuje, względnie tych powiatów, które należą do związku celowego, utrzymującego zakład.

Koszty utrzymania wojewódzkich zakładów opiekuńczo-

wychowawczych pokrywają wojewódzkie związki komunalne, poszczególne zaś związki komunalne pokrywają koszty utrzymania dzieci w wojewódzkich zakładach opiekuńczo - wychowawczych zgodnie z przepisami ustawy o opiece społecznej. („Gmina“).

PRACA ZAWODOWA KOBIEŃ W POLSCE.

Bardzo interesująco przedstawia się w cyfrach praca zawodowa kobiet polskich. Przedewszystkiem zaznaczamy, że przed wojną kobiety stanowiły 44, 45 procent ogółu zawodowo czynnych mieszkańców Polski.

Obecnie najwięcej sił kobiecych absorbuje rolnictwo i wody pokrewne, jak ogrodnictwo, hodowla, rybactwo, pszczelnictwo. W zawodach tych pracuje 5,116,971 kobiet.

Przemysł odzieżowy i galanteryjny zajmuje drugie z rzędu miejsce. Kobiety dorosłe pracujące w tym dziale stanowią w Warszawie przeszło 84 procent ogółu pracowników, w województwie krak. przeszło 46 procent w lwowskim i tarnopolskim 31 procent.

Przemysł włókienniczy zatrudnia bardzo wiele kobiet. W woj. kiel. stanowią kobiety 60 procent zatrudnionych w tym przemyśle, w Warszawie 55, w woj. białostockim i poleskim 51, w łódzkim 41, w obwodzie bielskim 36.

Bardzo znaczna ilość kobiet pracuje w przemyśle spożywczym; w Warszawie 44 procent, w woj. lwowskim i tarnopolskim 65 procent (fabryki konserw) ogółu robotników stanowią kobiety

Przemysł chemiczny zatrudnia w woj. łódzkim 45 procent, w Warszawie 45 procent, w woj. poznańskim 32, w kieleckim 25 procent kobiet na ogólną liczbę zatrudnionych w tym dziale.

Przeróbka minerałów, garncarstwo, zegarmistrzostwo, złotnictwo, przemysł budowlany, fotografia, introligatorstwo, zecerstwo i t. p. są to przemysły najmniej zatrudniające kobiet, pomimo, że niektóre z nich bardzo się dla kobiet nadają i w tym kierunku jest dla szkół zawodowych żeńskich otwarte olbrzymie pole pracy.

Natomiast w charakterze służby domowej i przy usługach osobistych (fryzjerki, praczki, manicurzystki, łazienniczki, woźne, kelnerki) pracuje (r. 1921) 274,000 kobiet. W zawodach tych jest ogromna przewaga kobiet nad mężczyznami.

W dziale handlowym pracowało w 1921 r. 109,000 kobiet. Na poczcie, przy telefonach, telegrafach, w komunikacji i transporcie pracowało w 1921 r. 11 tys. kobiet. Cyfra ta niewątpliwie od tego czasu wzrosła znacznie.

Dużą ilość kobiet zatrudnia służba zdrowia (lekarki, dentystki, higienistki, położne, pielęgniarzki, aptekarki, felcerzki itd).

W dziale wychowania udział kobiet jest bardzo poważny: W 1927-8 było w szk. powszech. 38,740 nauczycielek, a w szkołach średnich 5,927. W urzędach państw. i kom. w r. 1921 pracowało 15,626 kobiet.

Coraz więcej kobiet spotyka się w prasie literaturze, nauce, sztuce, architekturze, inżynierji i zawodach prawniczych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu B. Sz. Z artykułu o Edwardzie Schuré nie skorzystamy. Rękopis może być zwrócony po nadesłaniu znaczka pocztowego.

Pani M. G. Z nadesłanego artykułu skorzystać nie możemy. Jest on zbyt ogólnikowy. Tematy wchodzące w zakres rozważań Szanownej Pani (obrona rodziny) były już opracowane głębiej i detaliczniej. Lepiej byłoby obrać sobie węższy zakres tematu, wypowiedzieć się w nim do końca i rzeczowo. Rękopis może być zwrócony po nadesłaniu znaczka pocztowego.

Pani Zofji R. Sw. — Z nadesłanych do „Kultury Ciała“ wierszy skorzystać nie możemy.

SZTUKA I ŻYCIE

I.

Jesteśmy świadkami pocieszającego objawu. Coraz powszechniejsze uznanie i zrozumienie zaczyna sobie zdobywać piękno, nie to oderwane od życia i spraw jego, a przeniesione martwo w sale muzealne, lecz piękno żywe, związane bezpośrednio z człowiekiem i życiem, będące wyrazem jego codziennych potrzeb i organiczną jego częścią. Sztuka bowiem i związane z nią piękno, była zawsze wyrazem potrzeb życiowych, a nie jakąś wyrozumowaną i narzuconą teorią, którą możnaby było dowolnie, wedle jakiegoś chwilowego kaprysu, wcielać w życie. Usiłowania w tym kierunku czyniono niejednokrotnie, ale zawsze kończyły się one klęską i niepowodzeniem, sztuka bowiem, o ile ma być tworem, zdolnym do samoistnego życia, musi wynikać z istotnych potrzeb, pragnień, winna być szczerym przejawem życia, a nie jakimś naśladowczym pędem.

Tak, a nie inaczej bywało zawsze dotychczas we wszystkich epokach i stadjach rozwoju ludzkości, które swój stosunek do życia i jego potrzeb wypowiadały w sposób jasny, konsekwentny, zamykając swoje odrębności i upodobania formalne, czyli cały swój dorobek artystyczny, w to, co dzisiaj zwiemy stylami. Wszystkie style historyczne otaczamy dzisiaj szczerem, a często bezkrytycznym, uznaniem i podziwem, uważając je za niedościgłe wzory doskonałości i piękna, a zapominając jednocześnie, że tworzyło je życie, w podstawowych przejawach swoich niewiele różniące się od naszego, że zamykano w nich upodobania i usiłowania formalne danej epoki, łamiąc się ze wszystkimi trudnościami, jakich nie szczędził nigdy żaden materiał, że każdy z nich zamyka w sobie wielorakie wzloty i upadki tych, co je tworzyli w swoim codziennym mozole.

Podkreślmy *tworzyli*, a nie naśladowali lub kopiowali. Nigdy bowiem w epokach powstawania i tworzenia się stylów nie podnoszono do godności kanonu — naśladownictwa. Przeciwnie, każdy artysta, bez względu na to, co komponował, rzecz wielką, czy małą, każdy wysiłał swoje zdolności dla stworzenia przedmiotu jak najdoskonalszego, zawierającego jak największą sumę jego własnej indywidualności, zręczności i umiejętności. Kto komponował, ten również wykonywał własnoręcznie — artysta był doskonałym w swoim zawodzie rzemieślnikiem, a rzemieślnik znamienitym nieraz artystą. Każdy przedmiot był wykonywany na czyjeś zlecenie, dla kogoś, kto posiadał taką lub inną godność, takie lub inne upodobania artystyczne, mniejsze lub większe zasoby pieniężne, co musiał brać pod uwagę artysta tworzący i do tych wszystkich danych ściśle swoją robotę stosować. Robota nabierała więc cech ściśle indywidual-

nych, zarówno zamawiającego, jak i artysty, wyrażała dobitnie poziom i stopień zamożności, jak również społeczną pozycję tego, kto dany przedmiot wykonać zlecał. W ten sposób każde dzieło stawało się wyrazem swego czasu i swego środowiska, posiadało ten wyraz i oblicze indywidualne, które dzisiaj tak wysoko i słusznie cenimy. Posiadało zatem to, co dzisiaj zwiemy stylem.

Poza wyszczególnionymi właściwościami każda praca musiała się liczyć z właściwościami danego materiału, każdy bowiem materiał wymaga innego opracowania, czy to złoto, czy srebro, drzewo, marmur lub kamień. Ponadto każdy artysta tworzył dla jasno określonego celu, miejsca i przeznaczenia, musiał zatem brać pod uwagę wszystkie czynniki, wśród jakich jego dzieło miało się w przyszłości znajdować. Z tego wynikało mnóstwo najrozmaitszych wskazań, często pozornie mało znaczących i drobnych, a jednak dla samego dzieła bardzo doniosłych, a niekiedy wprost decydujących. Malarz, malujący portret lub obraz kościelny, sam sporządzał sobie farby i inne środki pomocnicze, poznawał więc wszystkie ich tajemnice i właściwości, a temsamem zdobywał coraz to nowsze i większe możliwości. Tak więc każde dzieło było uzależnione od splotu i zespołu najrozmaitszych warunków, niekiedy już dla nas dzisiaj zupełnie nieuchwytnych czynników, które jednak w szczegółach i całości decydowały o jego wyglądzie, formie i właściwościach. Ten splot najróżnorodniejszych warunków życiowych nie dozwalał artyście schodzić na bezdroża oderwanych od życia, czystych teorii, które, jak wiadomo, bywają grobem wszelakiej twórczości artystycznej.

Ci artyści tworzyli dla życia...

W tych szczęśliwych dla sztuki czasach nie było i nie mogło nawet być rozłamu pomiędzy życiem i sztuką. Życie tworzyło sztukę i na każdym pożytko jej kroku. W rzeczach wielkich i małych, w kościele i w domu, w obrazie i rzeźbie, w przedmiotach codziennego i odświętnego użytku, w rzemiośle i zbytku. Królowała zatem sztuka zarówno w pałacach i zamkach, jak i domach mieszczańskich i chatach włościańskich, nawiedzając ohotnie wszystkich wielkich i małych, ubogich i zamożnych.

Jak piękne są zabytki tych błogosławionych czasów, wiemy najlepiej, oglądając je po galeriach i muzeach. Podziwiamy ich formę, dokładność i piękno wykonania, doskonałość materiałów, a wszystkie te cechy uważamy, i słusznie, za szczyt artysty. A przecież niewielka stosunkowo ich ilość była tworem ludzi, których dzisiaj nazywamy artystami, w ogromnej większości wychodziły one z pracowni rzemieślniczych, a ich wykonawcy nie rościli sobie żadnych praw do wielkości lub do uznawania ich za artystów z bożej łaski; zadowalali się tytułem mistrza w swoim szlachtetnym zawodzie. Każdy z nich wiedział, że dzięki wieloletniej praktyce potrafi dobrze wykonać

kielich kościelny, oprawić klejnot, namalować portret, obraz do ołtarza, wykuć rzeźbę, zbroję, tkaninę, koronkę, wykonać jakikolwiek przedmiot ze szkła, żelaza, szlachetnego kruszcu, drzewa, kamienia lub marmuru. Logika materiału i przeznaczenie danego przedmiotu narzucały wykonawcy formę, podsuwając takie, a nie inne zdobnictwo. I tak powstawały przedmioty piękne, doskonałe pod każdym względem, słusznie dzisiaj zaliczane do arcydzieł sztuki.

Wśród takich warunków sztuka stawała się indywidualnym i doskonałym wyrazem każdego środowiska, w którym powstawała i żyła. Inna była sztuka kościelna, inna magnacka, inna mieszczańska. Życie, człowiek i sztuka splatają się tak nierozdzielnie w węzłach wzajemnego na się oddziaływania, że pozostają one w związku przyczyn i skutków. Dlatego sztuka czasów dawnych posiada tak pełny wyraz czasu i miejsca, w którym powstała. Jest albo kościelna albo świecka, książęca lub mieszczańska, zawsze jednak szczerza i prawdziwa. Jak każdy budynek od pierwszego wejrzenia zdradzał, czym jest i do czego ma służyć, tak i każde drobniejsze dzieło sztuki szczerze i jasno mówiło o sobie, czym jest, z czego jest zrobione i do jakiego celu przeznaczone.

Tak było dawniej, a dzisiaj?

(d. n.) Stanisław Machniewicz.

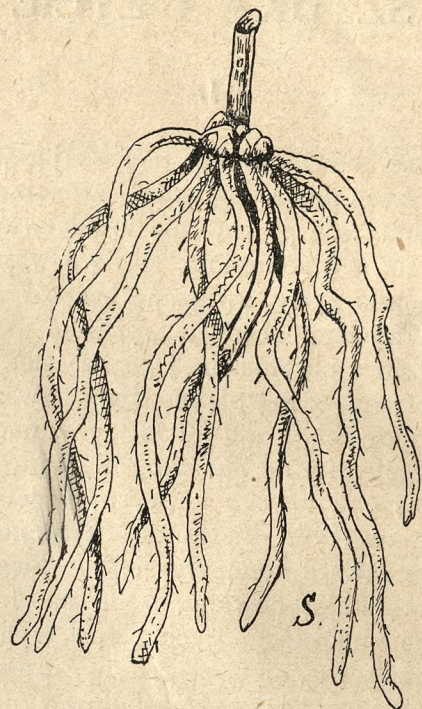
SZPARAGI

(dokończenie)

Karpy do jesieni powinny być wydać po kilka łodyg, wysokich do 60 cm. Łodygi te zostały po zwiędnięciu ścięte przed mrozami, ale resztki ich wyraźnie wskazują rzędy. Więc łatwo będzie wybierać karpy, nie uszkadzając korzeni. Najlepszym do tego narzędziem są t. zw. widły amerykańskie, o 4 płaskich zębach. Karpy, wykopane raz jeszcze, podlegają sortowaniu, a jeśli konieczność zmusza również do zużytkowania słabszych, to należy je sadzić w osobnych rzędach, a nie w pomieszaniu z silnymi.

Wykopane karpy układamy w przygotowanych dołkach przy palikach, na powierzchni kopczyków, starannie rozpościerając korzenie w postaci promieni gwiazdy. Zakryć je należy warstwą ziemi doprawionej obficie kompostem, na grubość około 5 cm., dzięki czemu wierzchołek karpy znajdzie się na głębokości 10 do 15 cm. pod powierzchnią gruntu. Stosowane dawniej głębokie sadzenie w rowach, wykopywanych na 40 lub 50 cm., jest wręcz wadliwe, bo pozbawia karpę dostępu powietrza i ciepła. Po polaniu, pozostawiamy narazie plantację w spokoju, chroniąc jedynie od chwastów. Gdyby wypadła susza, to polewanie zasadzonych karp jest bardzo wskazane.

Gdy karpy już się przyjmą, i wypuszczą łęty, należy je luźno przywiązać do palików, żeby wiatr



Karpa jednoroczna.

ich nie uszkadzał, ale ponieważ łęty te szybko grubieją, więc strzec się trzeba zaciskania wiązań. Dobrze też jest teraz plantację zasilać regularnie tak samo, jak to opisaliśmy przy pielęgnowaniu rozsady.

Przestrzenie wolne pomiędzy rzędami szparagów można w tym roku wyzyskać, sadząc tam fasolę piechotę, sałatę, buraki ćwikłowe, lub podobne rośliny, niezbyt silnie wyczerpujące ziemię. W latach następnych już w połowie lata nać tak silnie ocieni ziemię, że międzyplony mogą wchodzić w rachubę tylko na krótki okres wiosenny, więc np. wczesna sałata, kalarepka lub podobne.

W jesieni, gdy nać żółknie, należy łęty obciąć u powierzchni ziemi, usunąć je z ogrodu, i najlepiej albo spalić, albo zakopać, żeby zapobiec rozplenianiu się zarazków chorób lub szkodników, które mogą na nich, albo w ich wnętrzu się znajdować. Paliki powinny zostać, a gdyby który zgnił, to powinien być zastąpiony nowym, który należy wetknąć w tę samą dziurę. Gdyby dziura uległa zasypaniu, to już nie można palika nowego wtykać blisko karpy pionowo, lecz trzeba wetknąć go skośnie w pewnej odległości od karpy, żeby nie uszkodzić korzeni.

Znowu całą powierzchnię szparagarni należy nawieźć mierzwą, wyrównać ziemię zupełnie, zasypując pozostałe po sadzeniu dołki, i czekać następnej wiosny.

Gdy ziemia rozmarznie, należy przedewszystkiem dosadzić karpy nowe w tych miejscach, gdzie się nie przyjęły, a następnie zasilić plantację nawozami pomocniczymi, dając na 10 m. kw. powierzchni ziemi, zajętej pod plantację, po 300 g. superfosfatu, 250 g. soli potasowej 40 proc. i 300 g. saletry chilijskiej. Tę ostatnią zaleca się stosować w 2 równych

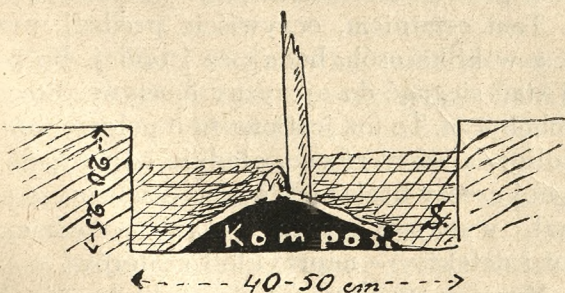
dawkach, a mianowicie pierwszą połowę, gdy karpy zdradzają chęć do życia, więc gdy się zaczynają ukazywać pierwsze wypustki, resztę zaś po upływie 10 do 14 dni. Nawozy te można pozostawić na powierzchni ziemi, albo można je wgrabić przy wiosennym spulchnianiu ziemi.

Poza tem pielęgnowanie szparagarni w drugim, a następnie i w trzecim roku, nie ulega żadnym zmianom. Tylko lętów przywiązywać nie będziemy potrzebowali, bo powinny one wytworzyć taki zwarty gąszcz, że nawzajem służyć będą sobie za wystarczającą podporę.

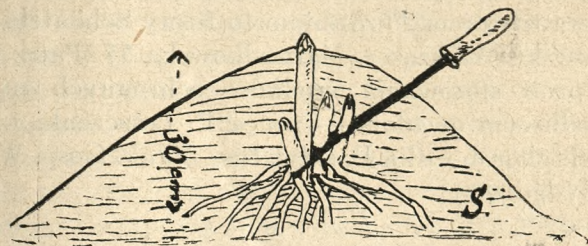
Wreszcie nadchodzi wiosna czwartego roku, która pozwoli skosztować owoców tyloletnich zabiegów. Bardziej niecierpliwi hodowcy już w trzecim roku wycinają szparagi, ale wolno wyjąć tylko po kilka sztuk z każdej karpy, i trzeba zaprzestać wycinania bardzo wcześnie, a mimo to karpy podlegają osłabieniu. Więc nie pożałuje, kto się uzbroi w cierpliwość, i poczeka z normalnym zbiorem do czwartego roku.

W ciągu kwietnia należy motykami nagarnąć ziemię na miejsca, w których rosną karpy, ażeby nad każdą rośliną powstał szeroki u podstawy, kopulasty kopczyk, około 30 cm. wysoki. W ten sposób cała powierzchnia plantacji pokryje się kopcami i rowkami, jakby wielkimi kretowiskami. Dawny system wyorywania wałów wzdłuż rzędów, został zaniechany, gdyż okazał się niepraktyczny, zwłaszcza w starych plantacjach. Mianowicie—każda karpa co rok tworzy nowy wierzchołek, nieco wyżej od poprzedniego i nie nad nim, lecz obok. W ten sposób każda karpa z biegiem lat posuwa się w pewnym kierunku i ku górze. Ponieważ posuwanie się może u każdej karpy odbywać się w inną stronę, więc karpy wyłażą z szeregu, i przy robieniu wałów mogą być uszkodzane narzędziami, a poza tem wierzchołek jednych wypadnie pod środkiem nasypu, inne znajdą się pod skarpą, i będą dawały bardzo krótkie fajki. Dlatego obsypywanie indywidualne poszczególnych karp kopczykami rychło zyskało sobie uznanie, pomimo wynikającego stąd wzrostu kosztów robocizny.

Kopczyki wyższe, niż 30 cm., nie są potrzebne, bo i tak do użytku dłuższych łodyg się nie bierze, więc poco zmuszać karpę do przebijania grubszej warstwy ziemi? Wyższe kopce łatwiej obsypywałyby się i trudno byłoby znaleźć dostateczną ilość ziemi do ich wytworzenia.



Sadzenie siewek (w przekroju).



Szkody, wynikające z wycinania szparagów „na ślepo” nożem szparagowym.

Bardzo poważnym błędem jest rozpowszechniony jeszcze, zwłaszcza po wsiach, zwyczaj wycinania szparagów t. zw. nożem szparagowym. Niczem innym nie można wyrządzić szparagarni takich olbrzymich szkód, jak tem barbarzyńskim narzędziem, które powinno być wykreślone ze wszystkich cenników firm, mających dobro swych odbiorców, a nie tylko własny interes na oku. Łatwo się z tych ostrych zarzutów wytłumaczę.

Z karpy równocześnie wyrasta po kilka młodych pędów, ukrytych pod nasypem. Z nich jeden dochodzi do powierzchni ziemi, wybierający szparagi spostrzega go, i na ślepo wbija ostre narzędzie w głąb nasypu, w kierunku, w którym według jego przypuszczenia, znajduje się nasada pędu. Dobrze, jeśli odrazu trafi. Jeśli nie, to żga owym nożem w poszukiwaniu pod ziemią pędu, a przy tej sposobności kaleczy lub ścina wierzchołki obok wyrastających fajek, i rani karpę. Więc precz z t. zw. nożami szparagowymi. Precz z wycinaniem na ślepo, komu miłe życie jego szparagarni!

Wycinać szparagi można tylko zwyczajnym nożem ogrodniczym, albo można fajki wyłamywać, odgarnawszy uprzednio ziemię tak, żeby nasadę odsłonić. Przy tej sposobności napotkane dłuższe fajki można będzie również wybrać, a przez poruszanie ziemi na kopczyku, przez ciągłe podgarnianie motykami, ulegną zniszczeniu chwasty i powierzchnia plantacji będzie stale pulchna.

Wybieranie szparagów powinno być przerwane w połowie czerwca, a najdalej na Ś-go Jana. Termin ten nie jest przypadkowy, lecz związany z rozwojem jednego ze szkodników szparagowych, a mianowicie chrząszczyka szparagowego (*Crioceris asparagi*). Chrząszczyk ten składa wiosną jajeczka na młodych pędach, a wylęte gąsieniczki żywią się młodą zieleńią. Ponieważ okres grasowania pierwszego pokolenia kończy się w pierwszej połowie czerwca, więc gdy nać będzie się rozwijała dopiero po tym terminie, to chrząszczyk straci pożywienie w najważniejszym dla niego okresie rozwoju. Później nie jest on już groźny. Dlatego też najwięcej cierpią od niego młode plantacje i rośliny dosadzane. Ponieważ w jesieni ukazuje się drugie pokolenie, mniej liczne, więc lęty trzeba palić, żeby niszczyć przyklepione do nich jajeczka. Samego chrząszczyka można strząsać na płachty

i topić w ukropie, albo można zraszać opanowane rośliny roztworem 2% Aphimortu firmy Schönfeld i Tyborowski, Warszawa, Marszałkowska 53 (Patrz wyniki prób stosowania środków ochronnych przeciw szkodliwym owadom — praca P. Leszczenki w Wydziale chorób roślin Państw. Inst. Nauk. Gosp. Wiejsk. w Bydgoszczy).



Chrząszczyk szparagowy (koska) i jego larwa.

Po skończeniu zbioru szparagów, należy znowu plantację zasilić. W tym celu rozwozi się mierzwę w stosunku 60 wozów parokonnych na ha i nawóz ten przykrywa się ziemią, otrzymaną z rozgarnianych kopczyków. Dobrze uczyni, kto wiosną doda jeszcze zasilek z nawozów pomocniczych w stosunku około połowy tej dawki, którą przepisaliliśmy dla młodej plantacji. Gdyby w którym roku wyjątkowo zbrakło nawozu naturalnego, to ilość nawozów pomocniczych wypadnie przynajmniej podwoić.

Teraz już pielęgnowanie szparagarni z roku na rok jest takie same: sypanie kopców w kwietniu, rozgarnianie, połączone z nawożeniem, w połowie czerwca, ścinanie łętów, gdy żółkną. Tak pielęgnowana plantacja będzie mogła wydawać fajki grube, których 15 pójdzie na kilogram. Pewna ilość cieńszych znajdzie się zawsze, ale te najpiękniejsze, starannie dobrane, osiągną w handlu tak wysoką cenę, że nie tylko dadzą moralne zadowolenie hodowcy, ale pokryją wszystkie koszty i trudy.

Stan, Schönfeld.



E.

B.

W POLSKIM KARLSBADZIE

Kiedy na wiosnę, w czasie przechadzki w upalny dzień, zaproponowałam paru koleżankom z pensji, wypicie dla ochłody butelki „Morszynki” — jednogłośnie oburzyły się na mnie. „Może nam poradysz szklaneczkę Franciszka-Józefa lub Hunyady Jawan?!”. Bo ogół Polaków zna tylko gorzką sól morszyńską, która nie tylko konkuruje z solą karlsbadzką, lecz nawet zupełnie ją usuwa z rynku krajowego, a nie wie, że Morszynka, to smaczna, lekko zgazowana, radjoaktywna woda stołowa, wytryskująca ze źródła pod statua Najświętszej Panny w parku zakładowym w Morszynie. Morszynka ma tyle wspólnego z solanką morszyńską, co wyborny, światowej sławy „Giesshübler” ze Szprudlem, Mühlbrunnen i innymi gorzkiemi i słonymi źródłami w Karlsbadzie, to jest tylko to, że w jednej a tej samej wytryska miejscowości. A miejscowość ta jest śliczna. Otaczają ją bory niebotycznych świerków, łąki i pola uprawne. Jest to wieś, zupełnie wieś, bez jazgotu jazz-bandów, bez niemiłosiernie piłującej uszy „orkiestry zdrojowej”, bez zakurzonego deptaka i codziennej rewji tualet. Jedną właściwość krajowych (a i zagranicznych), kurortów Morsztyn, niestety posiada. Liczne rzesze mniejszościowe szukają tu uzdrowienia, jak w każdym innym kąpielisku. Na szczęście, poza spacerami, odbywanymi po wypiciu wody w nowej pijalni, widuje się ich mało. W Zakładzie Dietetycznym, stanowiącym jakby serce zdrojowiska, nie spotyka się ich wcale.

Środki lecznicze tu stosowane są: picie wód, które zależnie od procentu soli mogą zastąpić, bądź Karlsbad, bądź Marjenbad, kąpiele solankowe, gazowane lub borowinowe. Do tego oczywiście wszelkiego rodzaju okłady, natryski, masaże, hydropatyczne zabiegi. Zakład zdrojowy leczy dietą, stosowaną indywidualnie do każdego pacjenta pod ścisłym, osobistym dozorem lekarza zdrojowego. Bez wpisania do książeczki nie wydadzą kuracjuszu, ani spodka sałatki lub kompotu, ani szklanki mleka — nadużyć nie może być żadnych.

Z rozrywek — bridge prawie nieustający, preferans dla konserwatystów, tenis dla młodzieży, no, i wycieczki do górskich lub podgórszych malowniczych miejscowości: Hrebenowa, Hoszowa, Wyszkowa i t. p. Wszędzie można dojechać koleją lub autem. Tem ostatniem, oczywiście prędzej, przyjemniej, a w kilka osób, bodaj, że i taniej. Bo przecież ręką stąd sięgnąć do ojczyzny benzyny, Borysławia i Drohobycza. To też jest ona tu o połowę tańsza, niż w stolicy, a szosy równe, gładkie aż nęcą do jazdy. Jedynej rzeczy brak niektórym — własnego auta, bo jednak wynajęte, mają, jak i wszędzie, różne wady i defekty — naprzykład szoferów!

Morszyn gwałtownie się rozbudowuje. Szeregi

coraz to większych pensjonatów stają przy szosie i dworcu kolejowym. Coraz więcej w nich komfortu i wygod. Podobno wszędzie jest dobra i zdrowa kuchnia — z przyprawą kurzu szosowego — bo wszędzie, za wyjątkiem zakładu zdrojowego, położonego we wspaniałym parku — brak zadrzewienia. Dziwny to naród, panowie hotelarze i panie właścicielki pensjonatów — o posadzeniu drzewek, a bodaj tylko krzewów, myślą naostatku, lub też nie myślą wcale. Za to w sobotę i niedzielę z różnych krańców wsi zaczynają się rozlegać dźwięki charlestonów i black-bottomów — to pierwsze próby przeszczepienia cywilizacji dancinowej na grunt wsi podkarpaciej. Całe szczęście, że te próby odbywają się w przyzwoitej odległości od zakładu zdrojowego.

Zakład ten nie jest pozbawiony muzyki. Jest w nim fortepian i wyborne radjo. Liczne pary słuchawek zawsze wieczorami zajęte przez melomanów. Przez lat kilka mistrz Ignacy Dygas, w obecnym sezonie — Kazimierz Salecki, jako goście zakładowi od czasu do czasu czarują nieocenionym darem swego śpiewu.

A dla ludzi, szukających ukojenia ducha, zbiorowe modlitwy u stóp statuy Najświętszej Panny, położonej w głębi parku, są prawdziwą rozkoszą. Ciepła noc letnia, przez gęsty szpaler grabowy dochodzą srebrzyste promienie księżyca w pełni. Pagórek za figurą usiany setkami płonących świeczek, jakby firmament gwiazdami, sam posąg i aljeje grabowe, doń prowadzące, umajone kwieciami i oświetlone rzęście świecami — ofiarami wiernych. Wspólna modlitwa, wspólny śpiew. Każdą melodję powtarza z daleka artysta orkiestry opery lwowskiej na dźwięcznym kornecie, czy waltornji. Nastrój, jak przy nabożeństwach pierwszych chrześcijan w katakumbach rzymskich. Cudownie!

E. K.



„COTELETTES DE VOLAILLE“ Z CIEŁĘCINY

Piękną, białą sznyclówkę, pokrajać wpoprzek włókien (koniecznie tylko wpoprzek) na cienkie plastery, licząc po 15—20 deka na każdy kotlet. Rozbić tak mocno, aby się mięso prawie zmasowało. Jedną, wewnętrzną stronę plastra skropić cytryną i posmarować młodem masłem. Zwinąć w trąbkę, poczem tasakiem nadać kształt kotletu z drobiu (côtelette de volaille). Zrumienić prędko na obfitem maśle, prze-

łożyć wszystkie razem na patelnię lub brytfannę, polać masłem, w którym się smażyły i wstawić na kilka minut w gorący piec, aby doszły. We środku jednak powinny pozostać soczyste. Solić dopiero w chwili smażenia, aby zachować białość mięsa. Dobrze przyrządzone takie kotlety w smaku i wyglądzie nie różnią się wcale od dużo kosztowniejszych kotletów z drobiu. Podaje się je z wszelkimi jarzynkami sezonowymi i sałatami zielonemi lub jarzynowemi.

SZNYCLE NA GRZANKACH

Z białej cielęciny pokrajać, o ile można, wpoprzek — gdyż krajane wzdłuż włókien, zawsze w smażeniu się kurczą — nieduże zraziki (około 10—12 deka każdy), zbić je mocno, prawie zmasować, uformować zgrabne, okrągłe lub owalne sznycelki. Ile mamy takich sznycelków, tyleż przygotować plasterków przerastalej szynki, kształtu i rozmiarów odpowiednich do sznycli. Zdjąć skórę z długiej, pszennej bułki, nadając bochenkowi kształt owalny lub okrągły, zależnie od tego, jak uformowaliśmy sznycele. Ukrajać z tej bułki dosyć grube grzanki, zrumienić je na maśle i jeszcze wstawić do pieca, aby się stały chrupiące. Nakoniec udusić w łyżce masła parę łyżek marmelady ze świeżych, przetartych przed użyciem, lub konserwowanych pomidorów. Sznycele osolić w chwili smażenia, kto lubi, może je lekko popieprzyć, usmażyć z obu stron. Każdą grzankę posmarować grubo pomidorową masą, położyć na to sznycel, przykryć szynką, polać masłem, w którym się sznycele smażyły. Wstawić na jedną minutę w piec, aby podać bardzo gorące. Podawać z makaronem, przysmażanemi kartofelkami, szpinakiem lub też z sałatą ze świeżych pomidorów.

„BLANKIETKI“ Z CIEŁĘCINY

Pokrajać, zbić i uformować z białej, ładnej cielęciny zgrabne, cienkie sznycelki, wagi po 10 deka najwyżej. Na brytfannie rozgnieść dużą łyżkę masła, ułożyć na to cielęcinę, jeden kawałek obok drugiego. Dopiero teraz lekko osolić. Na każdy kawałek cielęciny położyć małe kawałtko masła, zalać wszystko szklanką (lub więcej, zależnie od ilości cielęciny) białego, lekkiego, krajowego wina i wstawić w średnio gorący piec. W kwadrans do dwudziestu minut powinny być gotowe. Ukrajać takąż samą ilość plasterków wędzonego boczku lub bardzo tłustej szynki, ułożyć na patelni i dać tylko się „zeszklić“ lekko, a nie rumienić, ani wytopić. Na półmisku ułożyć sznycelki (powinny pozostać białe) i boczek, przekładając jedne drugimi. Zasmażyć łyżkę masła z łyżką mąki, rozprowadzić sosikiem od cielęciny, zagotować, dodać dwa żółtka rozbite z paru łyżkami słodkiej śmietanki lub, w braku jej, wody, ogrzać mocno, nie gotując więcej. Blankietki ob-

łożyć wokół ryżem, kartofelkami młodeymi lub drążonkami, czy też jaką inną jarzyną. Sos podać oddzielnie w sosjerce.

WYBORNĄ SZARLOTKA

Zrobić kruche ciasto z czterdziestu deka mąki, dziesięciu deka masła tłustego i dziesięciu deka cukru pudru. Rozwałkować na pół palca i upiec, dobrze rumieniąc. Czterdzieści deka cukru ugotować z pół szklanką wody na gęsty ulep i smażyć wolno, aż syrop zacznie się ciągnąć w nitkę. Odstawić od ognia, ucierać wałkiem lub drewnianą łyżką, aż zbieleje, wcisnąć sok z pół cytryny i dodać dla zapachu odrobinę cytrynowej skórki. Gorącą tą pomadką posmarować kruche ciasto. Dać wystygnąć. Nieduże kwaskowe jabłka obrać i pokrajać na ćwiartki, odrzucając środki. Ułożyć na placku gęsto, jedno obok drugiego i wstawić na parę minut w dobrze gorący piec, aby się jabłka upiekły. Posypać cukrem pudrem, pokrajać jak zwykłą szarlotkę.

LEGUMINA Z JABŁECZNYM KREMEM

Zważyć dziesięć deka masła, tyleż cukru-pudru, tyleż mąki pszennej i tyleż kartoflanej, wziąć sok z pół cytryny i skórkę z niej, trzy całe jaja. Masło utrzeć na śmietaną, dodawać po jednym jajku i po łyżce obu mąk i cukru. Gdy się wszystko zużyje, dodać sok i skórkę cytrynową i pół proszku do pieczenia „Luba”. Wyłożyć na blachę warstwę grubą na pół centymetra i upiec w niezbyt gorącym piecu. Upiec 5 dużych, kwaskowatych jabłek, przetrzeć przez sito, zmieszać z 15 deka cukru-pudru i dwoma białkami, ucierać w jedną stronę, aż się zrobi gładki.

gęsty, biały krem. Ciasto pokrajać na równe czworokąty lub zapomocą foremki blaszanej, porobić zeń okrągłe placuszki. Skropić obficie syropem cukrowym, zmieszonym po połowie z białym winem (można dodać łyżeczkę kawianą esencji ponczowej lub likierowy kieliszek rumu). Na każdym ciastku położyć dużą łyżkę jabłecznego kremu, ubrać po wierzchu paru malinami lub wiśniami, z osączonych z syropu konfitur, i podawać prędko, aby krem nie odwodniał.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Konfitury, scukrowane po dłuższym przechowaniu, można łatwo przyprowadzić do pierwotnego stanu. Wstawić słoik z konfiturami w rondel z zimną wodą, na wierzchu wsypać łyżeczkę miłkiego cukru i gotować, ciągle dolewając wody do rondla, dopóki cukier zupełnie się nie rozpuści. Wtedy zestawić rondel, a gdy zupełnie wystygna, wyjąć z wody. Konfitury będą zdatne do jedzenia, trzeba jednak prędko je użyć, bo mogą znowu się scukrować.

* * *

Konfitury, które fermentują, wylać do rondla, posypać miłkim cukrem i zagotować kilka razy na wolnym ogniu, starannie szumując, dopóki burzyć się nie przestaną. Przy używanych obecnie pastylkach benzoesowych, (jedna pastylka na litr owocu usmażonego) konfitury nie powinny nigdy się burzyć — nawet mniej słodkie i niebardzo wysmażone nie fermentują, ani nie pleśnieją.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 259-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 254-18.

Nasza Mównica

O wyzwolenie kobiety (w odpowiedzi p. A. Kobyleckiej z Lubomla).

Zabierając po raz pierwszy głos w „Bluszczu” zaczynam od przedstawienia się Szanownym Czytelniczkom: jestem z zawodu nauczycielką; pracowałam przez 10 lat w szkołach średnich ogólnokształcących i seminarjach; od trzech lat jestem na urlopie z powodu konieczności zajęcia się wychowaniem trojga małych dzieci. W pracy społecznej biorę udział od 13 roku życia; początkowo jako pensjonarka w tajnych organizacjach uczniowskich, potem w różnych tajnych i jawnych organizacjach o charakterze politycznym, oświatowym i filantropijnym. Darują Sz. Czytelniczki tę „przydługą” legitymację, ale chciałabym niejako „uprawnić” swój głos w poruszanych kwestjach.

Chodzi mi mianowicie o charakter ruchu emancypacyjnego kobiet, gdyż odnoszę wrażenie, iż wiele głosów w „Naszej Mównicy”, artykułów na szpaltach pism, a wreszcie i pewne uchwały, są poważnym błędem w wielkim ruchu „uczłowieczenia” kobiety.

Zacznę od listu p. A. Kobyleckiej z Lubomla p. t. „To wy się zreformujcie”, gdyż list ten sprawił mi dużą przykrość. Zdanie takie: „kobieta, ten łachman marny, ta niewolnica, to świecidełko, ta miła grzechotka, podana półbogowi w chwilach nudy i rozterki ducha i t. p.” nie powinno być znaleźć się w liście, walczącej o prawo człowieka kobiety, choćby dlatego, że za ten „łachman”, „niewolnicę” i „grzechotkę” uważane przez mężczyzn są tylko te kobiety, które, w głębi duszy same za nic więcej się nie uważają. Stwierdzam z całą stanowczością w imieniu własnym i całego szeregu kobiet-ludzi, z którymi przez 15 lat pracy społecznej i 10 lat zawodowej pracowałam, iż nigdy żaden mężczyzna za „łachman”, „niewolnicę” i „grzechotkę” uważałby nas nie śmiał. Nigdy też nie spotkałam się ani ze strony kolegów zawodowych, ani też ze strony towarzyszy w pracy społecznej z cieniem lekceważenia mnie, jako kobiety. Jeżeli mnie krytykowano, to w ten sposób, w jaki skrytykowanoby błędy każdego członka organizacji. Nigdy też nie spotkałam się z lekceważeniem mej pracy, jako kobiecej, przez profesorów, w okresie zdobywania wiedzy, jako też ze strony kierowników szkół, w których uczyłam. To samo mogę bezwzględnie powiedzieć o wszystkich tych kobietach, z którymi zetknęłam się w życiu, żadna z nich nie żaliła się na lekceważące traktowanie przez szefów.

Jeżeli chodzi o największych „tyranów” ko-

biet — mężczyzn (tak przynajmniej należy sądzić z wielu głosów w „Naszej Mównicy”), to doświadczenie własne i obserwacja życiowa mówią mi również, iż kobieta w stosunku do męża jest wtedy „łachmanem”, „niewolnicą” i „grzechotką”, gdy ani trochę nie jest „człowiekiem”. Nie wiem, czy jest taka kobieta, która w głębi duszy czuje się wolnym człowiekiem, a jednocześnie pozwala na traktowanie się jako „łachman”, „niewolnicę” czy „grzechotkę”!!

Nie wiem też dlaczego p. Kobylecka uważa, iż właśnie mężczyźni chcą „czemprędzej zmniejszyć program nauk dla szkół żeńskich, co się nieopatrzenie zrobiło — odrobić...”, bo przecież wniosek w tej sprawie wyszedł od kobiety, a w polemice na ten temat zabierają głos „za” i „przeciw” przedstawiciele i przedstawicielki obojga płci. Mówi się taksamo o zmniejszeniu programu dla szkół żeńskich, jak się mówi o konieczności reform w programach szkół wogóle. Według mego zdania, niepoważnie wygląda zbrojenie się w ciężkie działa do obrony, gdy nikt na fortecę nie napada. W ruchu uczłowieczenia kobiety te ciężkie działa obniżają powagę sprawy.

Daruje Sz. Autorka listu „To wy się zreformujcie” jako też i wszystkie autorki alarmów na trwogę dla obrony przed zachłannością męską, że ani trochę nie zgodzę się z niemi — i całkowitą winę upośledzenia kobiety, przypiszę... samej kobiecie. Niewolnikiem człowiek jest tak długo, dopóki nim jest naprawdę, w głębi swego jestestwa: trzeba się czuć wolnym, aby być wolnym!

Z mego punktu widzenia, ruch zdobywania praw przez kobietę jest takim samym zjawiskiem dziejowym, którego nic odmienić, ani powstrzymać nie zdoła, jakiem były wszystkie przewroty społeczne przy zdobywaniu praw przez warstwy upośledzone w dziejach ludzkości, a więc: „niewolnych”, mieszczan, chłopów. Są to przewroty konieczne w dziejach ludzkości i nie zniszczy ich większe, czy mniejsze niezadowolenie tych, których kosztem to się dzieje, a więc warstw dotychczas uprzywilejowanych, pomimo, iż to niezadowolenie i protesty są zupełnie psychologicznie zrozumiałe u osobników, stanowiących uprzywilejowany tłum. Jeżeli chodzi natomiast o mężczyzn myślących, to są oni w tej samej mierze gorącymi rzecznikami równouprawnienia kobiet, jak i myślące kobiety. Proszę mi wymienić nazwisko poważnego pisarza czy publicysty, któryby występował przeciwko równouprawnieniu kobiety: ja z tego rodzaju faktem nie spotkałam się. Natomiast mogę wymienić całe szeregi nazwisk naszych „wiel-

kich“, jak St. Brzozowski, Sieroszewski, Żeromski, Strug, Prus i t. d. i t. d., którzy w dziełach swych bądź specjalnie zajmują się sprawą wyzwolenia kobiety, bądź też mówiąc o kobiecie, mówią o „człowieku“, a nie o „niewolnicy“, „łachmanie“, czy „grzechotce“. Proszę mi wymienić dzieło, napisane przez kobietę, w którym tak gorąco i głęboko ujęta byłaby sprawa niedoli kobiecej, jak w „Płomieniach“ Si. Brzozowskiego. Przecież nawet w tym samym Nr. 31 „Bluszczu“ mamy artykuł Jana Bełcikowskiego „Kobieta, a naukowa organizacja pracy“, a Sz. Autor jeszcze przed wojną wołał: „jeden tylko, jeden snop: z polską babą, polski chłop“. Jeżeli w jakimś piśmie zjawi się od czasu do czasu artykułik wątpliwej wartości, mówiący nieprzychylnie o wywalaniu się kobiety, to, albo przebrzmi bez echa, albo spotyka replikę zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Jeżeli chodzi o uznanie zasług wybitnych kobiet, to w komitetach, w tym celu organizowanych, nie brakowało mężczyzn, a nawet liczba ich przewyższała liczbę kobiet. Nie słyszałam też ani jednego głosu męskiego, nie uznającego odkrycia radu, lub negującego wartość pracy np. p. Bailly.

Pójdźmy jeszcze dalej: przecież nawet rzecznikami idei matryarchatu są mężczyźni: Forel: „Zagadnienia seksualne“, Sclavus „Thalita Kumi“.

Gdzież więc są te straszliwe przeszkody, te tamy, stawiane przez mężczyzn na drodze naszej emancypacji?! Darujcie, Szanowne Panie, ja ich nie widzę, ale natomiast widzę, wyraźnie widzę wroga kobiety w samej kobiecie.

Pani Kobyłecka twierdzi, że mężczyźni „podtrzymują“ prostytutkę: twierdzenie śmiałe, oskarżenie ciężkie, tylko czy zupełnie słuszne? Prawda, że mężczyzna korzysta z prostytutki, zresztą mężczyzna najgorszego gatunku, lub dość jeszcze naiwny młokos, ale „podtrzymują“ prostytutkę w znaczniejszej mierze stojące na piedestale pseudo-cnoty kobiety mężatki, które na własnym rachunku mają nieraz flirty i romansiki, ale które gromy potępienia rzucają na głowy panien-matek. Dużo, och dużo już się mówiło i pisało o „cnotliwych“ matkach, wypędzających służącą, noszącą w łonie „owoc miłości“ pana czy panicza.

Która z tych „cnotliwych“ niewiast miała odwagę w imię solidarności kobiecej i w imię szacunku dla macierzyństwa, zażądać od najbliższego sobie mężczyzny: syna, czy brata poniesienia konsekwencji obopólnego „grzechu“?! A przecież z tych dziewcząt-służących w większych miastach i miasteczkach tworzą się zastępy prostytutek. Po co tak daleko sięgać?! Proszę mi powiedzieć, czy duża jest liczba kobiet, które zajmują się, pomimo nawoływań w prasie kobiecej, psychiką własnej, bardzo często małoletniej służącej, i czy, jeżeli taka służąca powiększa zastępy prostytutek, na pani domu nie ciąży moralna odpowiedzialność?!

I dalej, w czyich rękach leży wychowanie mężczyzny? Czemu my, matki, wychowujemy tych przyszłych „pólludzi“ — jak nazywa mężczyzn p. Kobyłecka.

Gdzie logika? Skarżymy się, że mąż nie bierze udziału w wychowaniu dzieci i, skarżymy się, że nasi synowie to pólludzie, niedołęgi, tyrani nie szanujący pracy i poświęcenia żony i matki. Kto winien? czy mężczyzna, który podobno nie chce wychowywać swych synów, czy kobieta, która takiego gagatka wychowała? Kto winien? Odpowiedź dla mnie prosta: winien brak samokrytycyzmu i brak wyraźnego określenia przed samą sobą, do czego dążymy w wychowaniu dzieci.

Robi się od pewnego czasu bardzo dużo hałasu z racji przyszywania guzików i układania rzeczy na swoim miejscu przez naszych mężów i synów. Czy naprawdę warto psuć dla tej kwestji tyle papieru i atramentu?! Przecież ta „sprawa“ to już zupełnie od nas zależy, aby nauczyć w dzieciństwie nieszczęśliwych kandydatów na pólludzi przyszywania guzików i tem samem dać im drogę do stania się „całym człowiekiem“. Okazuje się, że trzeba trochę cierpliwości z naszej strony, aby Jaś wyrósł na całego Jana. Należę do rzędu szczęśliwych kobiet, wychowanych w domu, gdzie każdy mężczyzna duży i mały, począwszy od mego dziadka, a skończywszy na braciach umiał przyszywać guziki, szyć, cerować, gotować, ba, nawet haftować chusteczki do nosa — i gdzie z tego powodu nie było nigdy „ważnej kwestji“.

Inna jest sprawa, czy obowiązkiem każdego mężczyzny jest przyszywanie guzików i porządkowanie rzeczy; czy wypadkiem mężczyzna nie zrobił mądrzej, wyzbijając się zajęcia drobiazgami, dla ważniejszych spraw? Wedle mego zdania zrobił mądrze, bo nie trzeba się rozdrabniać i zużywać niepotrzebnie — człowiek wszystkiemu sam nie podola, musi więc istnieć podział pracy!

Twierdzenie p. Kobyłeckiej, że kobieta jest całym człowiekiem, bo potrafi zająć się i pracą zawodową, i wychowaniem dzieci, i gospodarstwem domowym, jest dla mnie bardzo problematyczne, bo kobieta przedewszystkiem wcale tego nie potrafi, skoro bardzo szybko „siły jej się wyczerpują“, „przychodzi choroba“ i „rozprzega się całe gospodarstwo“. Nie potrafi, bo nie może „potrafić“, bo nie może jeden osobnik spełniać pracy dwóch. I dlatego społecznie mądrzejszy i pożądanjszy jest ten „brudny i obszarpany“ student, z którego wyrasta wybitny prawnik, lub dzielny lekarz, niż czystotka studentka, kończąca uniwersytet z anemią i rozstrojem nerwów. Myślę właśnie, że ta kobieca ambicja podolania wszystkiemu doprowadza do tego, że nie podolamy niczemu, a przynajmniej, że spełniając te wszystkie obowiązki odrazu, pozbawiamy się największych walorów: radości życia i zadowolenia z pracy. Jakże mądrze zrobił mężczyzna, odsuwając drobiazgi dla spraw zasadniczych. Trzeba, aby kobieta umiała zrobić to samo, aby umiała wybrać to, co stanowi potrzebę jej duszy i umiała odsunąć resztę.

Powiecie mi Panie, że dzisiejsze warunki ekonomiczne zmuszają kobietę do brania na swe barki ciężaru nad siły. Niestety tak, i tutaj właśnie należy wyteńczyć inteligencję, myśl twórczą i zapał, aby

wpłynąć na zmianę tych ciężkich warunków życia, robiących z człowieka omnibus. Trzeba pomyśleć wspólnie, jak zorganizować nasze życie, aby było lżej i radośniej, a nie wyęczać siły na nonsensowną walkę z mężczyzną. A przede wszystkim trzeba wyzbyć się cierpiętnictwa i pozwania na ofiary. Niech „Sewercia“ z listu p. Dzieciołowskiej zamiast „pobożnego westchnienia“ pod adresem męża: „już się zaczyna nabożeństwo“, powie pogodnie: „ubieram dziecko, może nalejesz dla nas herbaty“. Mam wrażenie, że tyran-mąż będzie wolał usłyszeć tę propozycję od „pobożnego westchnienia“, tak bardzo zatruwającego atmosferę pożycia małżeńskiego, bo jakież może być pożycie „tyrana“ z „ofiara“ i jak w tej atmosferze cierpiętnictwa i niezadowolenia z najbliższych osób może wyrastać i wychowywać się wolny człowiek? I jeszcze jedno: nie trzeba z niewolnictwem kobiety mieszać najcudowniejszego i najwznioślejszego dobrowolnego poświęcenia swych aspiracyj na ołtarzu wspólnego dobra rodziny, bo to jest największa siła i największe zwycięstwo kobiety-człowieka. Nie wolno nam kobiety-matki, która ze słodyczą i pogodą wewnętrzną zrezygnowała ze swych pragnień na rzecz dzieci i ogniska domowego nazywać niewolnicą; trzeba pamiętać Ibsenowskie: „aby być sobą, trzeba unicestwić siebie“.

Jeszcze jedna sprawa: obawiam się, iż w tej walce o wyzwolenie kobiety z pod tyranji męskiej obrałyśmy fałszywą drogę, bo np. żądamy, aby praca domowa kobiety była wynagradzana materialnie przez męża. Ja tego rodzaju uchwałę uważam za największą przegraną i osobiście nigdybym się na takie postawienie kwestji w stosunku do mego męża nie zgodziła. Bo proszę mi powiedzieć, dlaczego z roli współnika mam przechodzić do roli funkcjonariusza płatnego? Wiem, że chodzi tu o te kobiety, które nie umiały, czy nie mogły (mojem zdaniem nie umiały) zdobyć sobie pierwszorzędного stanowiska w domu, ale i dla nich uchwała ta może jedynie pogorszyć sytuację, bo dla czegożby brutalny mąż nie miał powiedzieć, zresztą zupełnie słusznie: „wymagam, bo płacę“, a wtedy, chyba każda kobieta musiałaby uznać się bardzo niewyraźnie. Nie pojmuję też, jak może być oceniona najpoważniejsza praca w domu: wychowanie dzieci. Bo, albo to są moje dzieci, a więc moim obowiązkiem jest je wychować, albo to są dzieci mego męża, który płaci mi za wychowanie. A w takim razie, czy i za urodzenie dziecka ma mi zapłacić? Darujcie, Szanowne Panie, ale nie wyobrażam sobie większego upokorzenia kobiety jak właśnie to poczucie, że na całe życie jest się związaną z osobnikiem, który „ma prawo wymagać, bo płaci“. Czy Panie nie myślą, że taki pan mógłby sądzić, iż i za miłość również płaci? A czy wypadkiem kobieta-żona, kobieta-matka, nie usłyszałaby od swego chlebobdawcy: „za taką cenę, mogę znaleźć młodszą i ładniejszą“? Czyż stanowisko żony nie byłoby stokroć gorsze od stanowiska najbardziej zahukanej służącej, która ma prawo odejść?

Nie tędy droga, Szanowne Panie! Wszystkie te-

go rodzaju uchwały na nie się nie przydadzą. Droga do wyzwolenia kobiety prowadzi jedynie przez rzeczywiste pogłębienie jej wewnętrznej wartości, trzeba się kazać szanować nie przez alarm i krzyk, a przez mocny, trwały wysiłek twórczy.

Lucja Mościcka — Augustów.

Z Zakopanego.

Piszę niniejszy list z podhalańskiego grodu, jak ktoś nazwał „letniej stolicy Polski“ — Zakopanego. Rozgłośna fama ochrzciła Zakopane, jako miasto Trzaski, „Morskiego Oka“ i innych dancingowych atmosfer. Pisało się swego czasu i pisze się dotąd o niskim stanie zbiorowego, zakopiańskiego intelektu, o rozrzedzeniu kulturalnej atmosfery, jaką wielcy Chałubińscy i Kasprowicze ongiś stworzyli. Intelekt poszedł na usługi jazzbandów, wysokie napięcie duchowej kultury zredukowało się do rozważań o wątpliwej estetycznej wartości, przy białych płytach stolików dancingowych sal, wśród oparów flirtu i jasnych kinkietów gabinetowych.

Tak głosiła fama. Nie zaprzeczam jej. I dziś Zakopane raczy napływających doń szczęśliwców rodzaju ludzkiego kolorowemi refleksami radostek dancingowej natury. I dziś tłumy odwiedzają Karpowicza, Trzaskę czy Jaszczurówkę-Zdrój. Wirują wśród stolików przy dźwiękach tej, czy innej murzyńskiej orkiestry, weselą się na swój sposób, obserwują z pod zmrużonych powiek braci-bliźnich też na swój sposób i obmawiają ich, ale już nie na swój, a ogólnoludzki sposób.

Famie tej, jak rzekłam, nie zaprzeczam, chciałabym tylko dodać do niej swój głos unisono — z pewnem małym sprostowaniem. Są tam nietylko dancingi i nietylko opary ludzkich, podczas przebywania w Zakopanem niewiele myślących mózgów, ale i praca poważna, praca o solidnem, naukowem nastawieniu.

Jest oto na terenie Polski zawodowy nauczycielski związek. Nazywa się w oficjalnym skrócie Z. P. N. S. P. Chcę tu powiedzieć, jak to my, związkowcy, spędzamy na terenie Zakopanego czas wakacyjny.

Tak dla nas, jak i dla wszystkich zakopiańskich gości, matka natura okazuje zgoła niemacjerzyńskie afekty. Częstuje nas deszczem, grzmotami, nocą oświetla błyskawicami groźną, tatrzańską panoramę, a ludzi, o mało odważnych sercach i nierozwiniętej żyłce górskiej, odstrasza od wędrówek nietylko wysoko-górskich, ale i tych małych, krótkodystansowych na Nosal, Sarnie Szczyty, czy w dolinę Kościeliską. Niezależnie jednak od niegościnnych opadów atmosferycznych, ludzie żądni wiedzy — jak oto my — starają się śmiało o uciechy natury intelektualnej.

Są na terenie Zakopanego 3 kursy nauczycielskie, organizowane przez Zarząd Główny Z. P. N. S. P.: 1) uniwersytecki, 2) społeczno-oświatowy i 3) ilustratorsko-organizacyjny. I tu i tam rozpęd robo-

czy i serdeczny, rodzinno-koleżeński nastrój. Codziennie: wykłady, prace seminaryjne, wycieczki; co wieczór — in gremio świetlica. Tematy wykładów zależą oczywiście od charakteru kursu. Są wykłady socjologii prof. Bystronia, współdzielczość wyklada wielka powaga w tej dziedzinie prof. Dąbrowski, ustawodawstwo nauczycielskie — poseł Smulikowski, geologję — prof. Passendorfer, literaturę — prof. Pollak i inne, niemniej roboczą nację nauczycielską obchodzące przedmioty zawodowe, społeczne, oświatowe.

Ażeby wykazać, że kursy takie to czynnik nie tylko kształcący, ale i zespalaający ludzi z szerokiego świata — wspomnę o tem, że mamy w swoim zespole słuchaczy-gości z Francji, a nawet miłego gościa koleżankę z Brazylii. Żyjemy pod znakiem wzajemnego zrozumienia i porozumienia. Duży procent kobiet na kursach wymownie świadczy o ciągłym pędzie do wiedzy rodu niewieściego i o intensywnym, a stałym umysłowym wysiłku.

Mieszkamy w szkole powszechnej przy ul. Nowotarskiej. Zdarzają się czasem podczas deszczowych dni atrakcje takie, jak wizyta górala z gęślikami i przyspiewkami: „Górol ci jo górol“. Są i inne. Oto czerwone afisze ogłaszają czarnymi literami, że w Jaszczurówce-Zdroju takiej to nocy odbędą się góralskie tańce przy ognisku, lub (gdyby deszcz) na sali. Oczywiście jedziemy. Zdarza się, że pada deszcz. Więc: czerwona łoża z przyćmionem światłem, więc dziesiątki ludzi wśród tłoku stolików, dziesiątki wirujących i potracających się wzajem par, i atrakcja — góralskie tańce.

Szkoda, że padał deszcz. I szkoda, że oto czyste piękno „zbójnickiego“ zeszło z piedestału tatrzańskiego horyzontu na teren dusznej, serpentynami upstrzonej sali. Wprawdzie nasze miejskie, anemiczne dusze zadrgały nagłą radością, wprawdzie dalekie echo bajki o góralu zadzwoniło żywo melodją taterniczą, jednak piękno owo, specyficzne góralskie piękno, dużo straciło wśród tła zwykłej, balowej sali. Wetując tedy zawód, jaki nam zgotowała Jaszczurówka, szykujemy długą, bo aż trzydniową wycieczkę wysokogórską. Świnuca, Miedziane, Rysy, strona czesko-słowacka. Gdy raz Giewont wyszedł z ukrycia, zabłysło słońce, to wydało nam się, że Tatry wzywają swych stałych bywalców i nowicjuszy. Żyłka górską odzywa się w nas. Wyrabiamy tedy przepustki, przygotowujemy górski ekwipunek i z ciupagą w ręku, duszą na ramieniu (mowa o nowicjuszach), a sercem bijącym mocno i głośno idziemy „zdobyć Tatry“. *Tropaczyńska Wera—Zakopane.*

Lekarstwo na donżuanów (W odpowiedzi p. Waclawie M. z Warszawy).

Kwestja, którą poruszyła Pani Waclawa M., nie jest nam obca, tylko żadna z czytelniczek „Bluszczu“ nie odważyła się o tem pomówić w „Naszej Mównicy“. Albo, gorzej może, jesteśmy tak już przyzwyczajone do tych głupich i bezmyślnych zaczepek, że wydaje się nam niemożliwością nauczenie starych i młodych mężczyzn poszanowaniu w kobie-

cie godności ludzkiej. Bo przecież niemożliwe, by płytkie natręctwo przechodnia nie obrażało każdej z nas. Przed wojną dzielono kobiety na dwie kategorie: te, które wychodziły w towarzystwie mężów, braci i ojców — na dobrze wychowane, tym oddawano szacunek, i na te, które pracowały na chleb i chodziły bez asysty, wobec tych pozwalano sobie na „małe“ wykroczenia, tak zwane zaczepki. Dzisiaj kobiet pracujących i chodzących bez opieki są tysiące, to też zaczepki ze strony panów zdarzają się kobietom młodym, starszym, z różnych sfer społecznych. Wrażliwsze odmawiają sobie pójścia do teatru lub przechadzki po parku, jak skarży się Pani Waclawa M. I dotychczas nie wystąpił nikt przeciw pustym głowom donżuanów. Ale przyszedł czas, kiedy kobieta może wymagać szacunku dla siebie. Kobieta okazała zdolności i wytrwałość w każdym zawodzie, jeżeli czasem nie dorównywa mężczyźnie, to jedynie dlatego, że zabiera jej drugą część dnia prowadzenie domu i chowanie dzieci, którą to pracę silny mąż złożył całkowicie na słabe barki kobiety.

Chodzi nam o usunięcie zbliżenia się ku nam obcego przechodnia, które jedną stroną obraża, a drugą poniża, mówię wyraźnie: poniża, bo jakżeż małym wydaje się mężczyzna, często starszy i na stanowisku, ścigający młodą dziewczynę. Nim wymyślimy coś nowego, możeby wzorować się na Ameryce, gdzie każda kobieta, zaczepiona przez mężczyznę, może żądać od policjanta aresztowania. Policja wyznacza wtedy grzywnę na takiego osobnika. Dlatego też amerykanki, jeżeli bywają zaczepione, to tylko przez obcych przybyszów, nigdy przez amerykańców, obeznanych z prawem. Nie ich nie krępuje w prowadzeniu swobodnego życia, bez obawy narażenia się na zaczepki.

Chciałabym, by myśl Pani Waclawy M. wydała plon. Prawne jej zrealizowanie zostawiamy kobietom na stanowiskach, jak posłankom, publicystkom i t. p. *Róża Machórona — Poznań.*

Ktoby wiedział.

Znając dobre chęci pań w niesieniu pomocy potrzebującym, zwracam się w „Mównicy“ do Szanownych Pań czytelniczek z prośbą, aby która z Pań, wiedząc o wolnem miejscu dla zarządzającej domem lub gospodyni, osoby młodej, lecz doświadczonej, sumiennej i oszczędnej, która za pensję mniejszą niż biorą gospodynie przyjmie miejsce, przesłała adres do redakcji „Bluszczu“ dla I. I. Osoba ta może być też towarzyszką do samotnej osoby, albo młodej pani, potrzebującej opieki.

Jakkolwiek jest to sprawa osobista, jednakże kieruję ją do „Mównicy“, gdyż w gazetach na ogłoszenia zwraca się mało uwagi i nieraz zachodzi wykorzystanie sytuacji.

Mając nadzieję, że która z Pań, dowiedziawszy się o takim miejscu, w mniejszem lub większem kółku swych znajomych, albo krewnych, nie omieszką przyczynić się do pomożenia osobie, potrzebującej pracy, o którą dziś tak trudno, zgóry dziękuję za grzeczność. *I. I.*